POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 19-go sierpnia 1944r.* **Rok VI. Nr. 33**

DOGORYWANIE III-ej RZESZY

Lipcowy zamach na Hitlera odsłonił społeczeństwu niemieckiemu następujące prawdy:

1/ że wielu generałów niemieckich przeszło do jawnej opozycji wobec kanclerza Trzeciej Rzeszy i partii narodowo-socjalistycznej,

2/ że opozycja ta w dniu zamachu, 20 lipca, przynajmniej na sześć godzin opanowała siedzibę sztabu niemieckiego przy Bendlerstrasse w Berlinie i wydawała antyhitlerowskie rozkazy,

3/ że mimo stłumienia tej opozycji, obecni kierownicy Trzeciej Rzeszy uznali za konieczne wzmóc dozór policyjny już nie tylko nad samym społeczeństwem, ale także nad różnymi wyżej postawionymi osobistościami i kołami, nie wyłączając bonzów partyjnych.

Uzmysłowienie sobie tych faktów przez szarego człowieka niemieckiej ulicy przychodzi w chwili, gdy do niepowodzeń na wschodnim i południowym froncie dołącza się łamanie oporu niemieckiego także na zachodzie. Utrata wiary w zwycięstwo zamienia się co raz wyraźniej w widmo klęski. Trzecia Rzesza bowiem nie tylko, że nie jest w stanie wytrzymywać ciosów z zewnątrz, ale rozkłada się już także od wewnątrz. W takiej sytuacji wszystkie a p e l e kierowników Trzeciej Rzeszy o wytrwanie, o wzmożenie wysiłku, o nieupadanie na duchu trafiają w próżnię. Lipiec zadał moralny cios Niemcom; nie ma już sposobu na to, aby się z tego wydźwignęli.

Z drugiej strony reakcja hitlerowskiej góry na ostatnie wypadki wskazuje, że reżim narodowo-socjalistyczny ani myśli kapitulować. Wolę dalszego oporu reprezentują przede wszystkim najbezwzględniejszy z hitlerowców — Himmler i najinteligentniejszy z nich — Goebbels.

Szczególnie charakterystyczne jest zgrupowanie w rękach Himmlera nie tylko uprawnień cywilnych, jako ministra spraw wewnętrznych i szefa policji, ale także wojskowych, jako dowódcy sił zbrojnych w samej Rzeszy. Ma to swoją ogromną wagę w obecnej chwili kurczenia się terytorialnego zasięgu wpływów niemieckich i wzrastania przez to obronnego znaczenia właściwej Rzeszy. Himmler co raz bardziej wyrasta na dyktatora Niemiec; Hitler co raz wyraźniej przesuwa się w sferę — symbolu. Führer zamienia się w świętego z Berchtesgaden, którego Goebbels obkadza jako cudem uratowanego przez Opatrzność.

* * *

To były stwierdzenia bezsporne. I od nich zaczynają się wszystkie niewiadome, niewiadome przynajmniej dla zewnętrznego obserwatora obecnych stosunków w Trzeciej Rzeszy. Niejasne są okoliczności samego podrzucenia bomby. Mogli ją rzucić spiskowcy, a mógł spowodować jej podrzucenie także sam Himmler, aby zyskać możliwość rozprawienia się z oponentami. Trudno też ustalić, jaki kierunek myśli politycznej reprezentowała opozycja generalska, której istnienie jest jednak niewątpliwe.

Radio niemieckie ogłosiło 1 sierpnia nagrodę za wskazanie miejsca ukrycia dr. Gördelera, wybitnego k o n s e r w a t y s t y, przyjaciela politycznego dr. Schachta, rzekomo wplątanego w zamach na życie Hitlera. Równocześnie jednak okoliczności wskazują, że jedną z czołowych osobistości ujawnionej opozycji był ostatni szef niemieckiego sztabu generalnego, generał S.S.'ów Zeitzler, uznany przez wszystkich specjalistów zagadnień niemieckich, przynajmniej do końca 1942 roku za osobistego, oddanego p r z y j a c i e l a H i m m l e r a.

"*The Times*" pisał o nim 14 grudnia 1942 roku: "Von Zeitzler, jednak gotów jest bez skrupułów i bez zastrzeżeń wykonać każdy rozkaz Hitlera. Jego zupełna bezwzględność budzi nadzieje jego nazistowskich przyjaciół . . ." Londyńska "*Die Zeitung*" wiadomość o nominacji Zeitzlera na szefa sztabu opatrzyła tytułem: "S.S. obejmuje sztab generalny".

Po lipcowym zamachu zostali zastrzeleni względnie oskarżeni nie tylko oficerowie ze starej, junkierskiej szkoły, ale "tajemniczo" zginęli lub znajdują się wśród oskarżonych również pewni oficerowie S.S. Wydaje się wobec tego możliwe przypuszczenie, że opozycja rekrutowała się z ludzi najróżnorodniejszych środowisk, że ducha oporu przejawili nie tylko typowi przedstawiciele konserwatyzmu niemieckiego, ale i rzeczywiści, dotychczasowi zwolennicy ideologii nazistowskiej.

Wszystkie domysły na te tematy mogą pasjonować, ale nie są znowu tak bardzo konieczne do oceny obecnej, wewnętrznej sytuacji Rzeszy. Kimkolwiek byli zamachowcy i ktokolwiek za nimi stoi, jedno musi uchodzić za pewne, że chcieli oni ratować Rzeszę od zagłady. Może uważali, że lepiej, niż Hitler, poprowadzą strategicznie dalszy ciąg wojny; może przypuszczali, że wytargują dla Niemiec pokój, przed dojściem Sprzymierzonych do granic Rzeszy; może byli w porozumieniu z jakimiś środowiskami z poza Rzeszy; może myśleli, że ten kontakt nawiążą natychmiast po zdobyciu władzy.

Cokolwiek zamierzali, spaliło na panewce. Okoliczności zaś, które towarzyszyły nieudaniu się ich planów wskazały, że nie byli oni w stanie porwać za sobą m a s o w o żadnego środowiska. Nie podniosły buntu żadne poważniejsze jednostki wojskowe, nie było żadnych rozruchów na ulicach miast niemieckich, żaden robotnik nie przerwał pracy, żaden żołnierz nie złożył broni. Owce niemieckie nadal pchają się na zagładę tam, gdzie wiedzie ich nieprzytomny w fanatyźmie pasterz i gdzie ich zaganiają gestapowskie owczarki. Piękny obraz, jak na "naród poetów i myślicieli".

* * *

Pozostaje wobec tego zapytać, czym — wobec nieudania się puczu — należy tłumaczyć szereg ostrych zarządzeń reżimu hitlerowskiego wobec samego społeczeństwa.

Zarządzenia te można przede wszystkim uzasadnić paniką, jaka wybuchła na szczytach hitlerowskich z chwilą ujawnienia konspiracji oficerskiej. Dowodem tej paniki były niewątpliwie histeryczne przemówienia radiowe Hitlera oraz Goeringa w nocy, po zamachu, które w tekście, opublikowanym w prasie, w kilku zwrotach złagodzono. Panika ta tłumaczy się "kompleksem Badoglio" u Hitlera. Hitler po prostu boi się, aby armia, ten jedyny w Rzeszy obok partii nazistowskiej samodzielny czynnik zorganizowany, nie zrobiła mu tego samego, co Badoglio zrobił z Mussolinim. Hitler zresztą, który sam latami całymi przed objęciem władzy konspirował wraz z armią nad obaleniem wejmarskiego reżimu, najlepiej rozumie, że generałowie nie są czynnikiem godnym jego stuprocentowego zaufania.

"Kompleks Badoglio" jest dziś na szczytach hitlerowskich równie silny, jak "kompleks Fryderyka Wielkiego". Pierwszy — każe im się bać zorganizowanej siły armii. Drugi — budzi nadzieje, że może jeszcze w ostatniej chwili, mimo klęski, zaświta zwycięstwo. Aby zrozumieć ten drugi kompleks nie zawadzi przypomnieć, że Fryderyk Wielki pobity na łeb i szyję przez Rosjan pod Kunersdorfem, uzyskał w końcu zwycięstwo dzięki dwom faktom:

1/ pokłóceniu się pierwotnej koalicji, zwróconej przeciw niemu.

2/ zmianie na carskim tronie Rosji.

Ludność Prus wyszła z tej wojny wprawdzie zmniejszona do 20 procent pierwotnej liczby mieszkańców, Berlin był w gruzach, kraj w ruinie, ale Prusy stały się większe terytorialnie i silniejsze polityczne, niż były przedtem. To jest wizja, która i dziś jeszcze, mimo wszystko, zespala hitlerowską górę. Na początku bieżącego roku Himmler wyraził to w poniższym, krótkim rozkazie do S.S.'ów i policji:

"W czasie wojny siedmioletniej Fryderyk Wielki napisał poniższe słowa: "Będziemy się tak długo bili, póki nasi przeklęci wrogowie zdecydują się łaskawie na pokój". To jest nasza dewiza na rok 1944. Heil Hitler!".

Polityka dla Niemiec samobójcza. Dla świata jest jednak lepiej, żeby w Niemczech nie znalazł się niemiecki Badoglio. Bo Niemcy to nie Włochy. Ale nie można wykluczyć, że opozycja wojskowa wznowi próbę zamachu.

* * *

Po lipcowym zamachu w propagandzie niemieckiej /porównaj przemówienia Leya i Goebbelsa/ odezwały się głosy silnej demagogii przeciw klasom posiadającym, arystokracji i konserwatystom, więc przeciw tym kołom, których pomocy Hitler zawdzięcza dojście do władzy. Głosy te zostały ocenione, w prasie szwedzkiej na przykład, jako zapowiedź zwrotu reżimu hitlerowskiego ku narodowemu — bolszewizmowi. Nie należy przypuszczać, że są to w historii partii narodowo-socjalistycznej argumenty zupełnie nowe.

Program N.S.D.A.P. /niemiecki skrót partii hitlerowskiej/ opublikowany w Monachium 24 lutego 1920 roku, zawierał 25 założeń programowych, z których bardzo wiele Hitler po osiągnięciu władzy wykonał co do joty. Nie urzeczywistniono natomiast szeregu istotnych punktów co do przebudowania społecznego i gospodarczego ustroju Niemiec. Odnośne programowe założenia przewidywały między innymi wywłaszczenie pewnych wartości bez odszkodowania, wywłaszczenie tak bezwzględne, że sam Hitler musiał później zaklinać się wobec społeczeństwa niemieckiego, iż stoi na gruncie własności. Niemniej jaskrawe punkty gospodarczego i społecznego programu swego czasu, w okresie walki Hitlera o władzę, pozwoliły zdobyć dla N.S.D.A.P. sympatie tych mas robotniczych, które przedtem szły na współpracę z komunizmem.

Warto także przypomnieć, że w roku 1928 i 1931 Hitler zadeklarował, iż partia narodowo-socjalistyczna odmówi udziału w obronie kraju na wypadek wojny, o ile nie nastąpi zmiana w wejmarskim układzie politycznych stosunków Rzeszy. W listopadzie 1932 roku partia hitlerowska wraz z komunistami proklamowała wspólny strajk w Berlinie.

Te demonstracyjne wystąpienia N.S.D.A.P. przeraziły ówczesne kierownictwo armii niemieckiej. Żeby nazistów zdobyć dla wspólnej walki o wielkie Niemcy, generałowie poszli na współpracę z Hitlerem. Konserwatyści niemieccy — junkrzy i wielcy przemysłowcy — żeby nie dopuścić do przerodzenia się narodowego socjalizmu w narodowy komunizm zaczęli rozmowy z Hitlerem. Hitler mógł dojść do władzy, ale zapłacił za to ustępstwem — niewykonywania swych programów socjalno-gospodarczych. Mało tego! Za otrzymane poparcie armii Hitler zapłacił wymordowaniem Roehma i tych jego towarzyszy, którzy dążyli do organizacyjnego podporządkowania wojska — partii nazistowskiej.

Tak wygląda historia ugody Hitlera z tymi, których opozycji się dziś znowu obawia, historia ugody z generałami i konserwatystami. Zamach lipcowy został widocznie przez Hitlera uznany za naruszenie warunków ugody. Stąd Himmler obejmuje armię, na razie wewnątrz Rzeszy, robi więc to, czego nie pozwolono zrobić Roehmowi. Ley i Goebbels rozpuszczają zaś języki przeciw klasom posiadającym.

Czy te przeobrażenia mogą mieć jakieś znaczenie dla przyszłej, najbliższej polityki Rzeszy? Wydaje się, że nie. Trzecia Rzesza jest w agonii. Jej fanatyczni sternicy mogą próbować jeszcze różnych sztuczek. Szanse powodzenia każdej takiej akcji politycznej, którą by wymyślili, są znikome. Trzecia Rzesza okazała się potęgą militarną możliwą do zdruzgotania. Wroga, którego można zdruzgotać, niszczy się; paktowanie z nim mogłoby być tylko dowodem własnej słabości. To jest logiczne uzasadnienie dla — *unconditional surrender* /bezwarunkowe poddanie się/.

Jedna przestroga. Przed końcem ostatecznym, o ile banda Hitlera i Himmlera dotrwa w Niemczech do tego końca, Europa może mieć jeszcze sporo kłopotu z Niemcami. Należy się obawiać rozwścieczonych desperatów! I bodaj najwięcej może ich obawiać się sam naród niemiecki. Nie nasz to kłopot — Niemcy same chciały Hitlera.

5 sierpnia

JÓZEF WINIEWICZ

START POLSKIEGO "WELLINGTONA"

fot. Jan Bielec



Przegląd tygodniowy

BÓJ W WARSZAWIE

Gdy to piszemy, dobiega końca drugi, tragiczny tydzień bitwy warszawskiej, samotnej bitwy bohaterskiego, nieustraszonego miasta, przeciw narosłym potężnie w jej toku siłom wroga. Warszawa jest bombardowana z powietrza i z ziemi, szlaki komunikacyjne przez nią powybijane czołgami, wypalone miotaczami płomieni. Nieprzyjaciel jest górą: zdołał utorować sobie trzy arterie poprzez Warszawę, porozrywać siły polskie. Jeszcze żadnej ich części nie zdołał jednak zdławić. Walka trwa.

Wciąż dochodzi wołanie stolicy o pomoc. Stąd, z polskiej strony, uczyniono wszystko co w mocy ludzkiej, by ją wyjednać, nasz Prezydent, Rząd i Wódz Naczelny nie ustaną w wysiłkach. Dotąd nie doszła ona do Warszawy w rozmiarach takich, by mogła zaważyć na losach walki. Nikt nie dał Warszawie osłony myśliwców przed bombowcami niemieckimi, nikt nie bombardował niemieckich lotnisk, skupień czołgów, pociągów pancernych, nie było poważnych zrzutów sprzętu, amunicji, żywności. Na próżno wydzierają się tam serca naszych lotników, naszych żołnierzy spadochronowych i nie dziwić się, że ból je ściska.

Trudno nam, Polakom, myśleć o tym spokojnie, gdy i w opinii brytyjskiej podnoszą się głosy zaniepokojenia. Pojmujemy trudności, wynikające z oddalenia Warszawy od baz brytyjskich, czy śródziemnomorskich. Pojmujemy komplikacje, wypływające z faktu, że to nie brytyjsko-amerykański teatr wojny. Pojmujemy, że inna jest w danym wypadku miara możliwości lub niemożliwości dla Polaka, inna dla najżyczliwszego sprzymierzeńca. Wydaje się jednak, że pewne możliwości były i są jeszcze. W granicach tych możliwości oczekujemy pomocy. Idzie o ratunek dla setek tysięcy mieszkańców bohaterskiego miasta, którego imię znowu winno wstrząsnąć sumieniem świata.

OPERACJE SOWIECKIE

Z komunikatów sowieckich i niemieckich ubiegłego tygodnia można próbować odtworzyć sobie przebieg wydarzeń nad środkową Wisłą. Gdy Dowódca Armii Krajowej wespół z Delegatem Rządu i Prezesem Rady Jedności Narodowej powziął decyzję wystąpienia zbrojnego, wojska sowieckie podchodziły pod Pragę, Niemcy byli w widocznym odwrocie na tym kierunku. Jednakże znaczne siły niemieckie były jeszcze na północny wschód od stolicy na lewym brzegu Bugu. Ze strony rosyjskiej działały elementy czołowe, operacje miały charakter pościgowy. Siły główne armii marsz. Rokossowskiego były bardzo w tyle.

Osobistą decyzją Hitlera rzucono do walki o Warszawę strategiczny odwód niemiecki. Skupiono na tym kierunku cztery dywizje pancerne i grenadierów pancernych. Od 3 sierpnia przednie straże sowieckie cofnęły się z bezpośredniego pobliża Pragi. W następnych dniach niemieckie dywizje wyrąbały sobie przez Warszawę komunikacje, odrzucając jednocześnie daleko na wschód czołowe elementy sowieckie. Inna grupa sowiecka, która przeszła Wisłę u ujścia Pilicy i była sygnalizowana pod Warką, została również odrzucona przeciwnatarciem innej grupy odwodów.

Marsz. Rokossowski potrzebował kilka dni na koncentrację sił i podciągnięcie sprzętu. Od 11 sierpnia są wiadomości o wznowionych przez niego działaniach zaczepnych, o odrzuceniu Niemców w obszarze na północ od Siedlec za Bug (wymieniane: Sokołów, Węgrów, Nur) i znacznych postępach w stronę Warszawy. Wobec lakoniczności komunikatów z obu stron, niezmiernie trudno ustalić na mapie rzeczywiste położenie. Dotąd działania te nie wywarły wpływu na sytuację w Warszawie. Nie interweniowało tam również, jak dotąd, lotnictwo sowieckie.

Odżyły walki pod Warką nad Pilicą. Pomyślny ich wynik wyprowadziłby wojska sowieckie na tyły Niemców, usiłujących zgnieść Warszawę.

W Sandomierskim ofensywa sowiecka natknęła się na poważne siły niemieckie i w ciężkich walkach toruje sobie drogę. Na kierunku Krakowa i Podkarpacia brak poważnych zmian. I tutaj ofensywa sowiecka musi nabierać tchu, gdy pościg natknął się na poważniejsze opory.

Na wschodniej ścianie bastionu wschodnio-pruskiego wywiązał się szereg ciężkich bitew, przy czym Niemcy wprowadzili znaczne siły do przeciwnatarć. I tam brak dotąd rozstrzygnięcia.

W Kurlandii (Łotwie południowej) doszło do zaciętych walk o Mitawę z odciętymi w krajach bałtyckich armiami niemieckimi, 16-ą i 18-ą, usiłującymi otworzyć sobie ostatnią drogę komunikacyjną i odwrotową. W chwili, gdy to piszemy, wydaje się, że ta próba przebicia sowieckiego pierścienia została złamana, wojska sowieckie podsunęły się ku Rydze, ofensywa zaś z obszaru Pskowa wdarła się głęboko do Estonii południowej.

W razie potwierdzenia się wiadomości o ewakuacji części odciętych tam sił niemieckich drogą morską, mielibyśmy do czynienia z próbą ratowania ich — o trzy tygodnie co najmniej spóźnioną. Było by to zagrobowe zwycięstwo tych generałów niemieckich, których hitlerowcy skazują, wieszają i mordują, a którzy zbuntowali się przeciw skazywaniu całych armii na zagładę.

WYŁOM W FORTECY

Pisał niegdyś młody generał Bonaparte: "Z systemem wojowania jest tak, jak z oblężeniem fortecy. Idzie o to, by skoncentrować wszystek ogień na jeden punkt. Gdy wyłom będzie wybity, równowaga zostaje zwichnięta. Wszystko inne staje się zbędne. Forteca pada."

Tak właśnie stało się z zachodnim frontem fortecy europejskiej Hitlera. Cały wysiłek Sprzymierzonych zwrócony był na wysunięty bastion normandzki, by wedrzeć się tam, owładnąć bastionem, dokonać wyłomu. To się stało. Od razu równowaga została zwichnięta. Brama, wiodąca z Normandii w rozległe obszary środkowej Francji została wywalona w zawiasie zachodnim, gdy Niemcy wysilali się, by wschodni podeprzeć. Na próżno próbowali z kolei podeprzeć wywaloną zachodnią część bramy, przez którą się już przelały potężne siły amerykańskie i jak fale powodzi poszły we wszystkich kierunkach. Wszystko inne stało się zbędne. Zbędne dalsze forsowanie wybrzeży, gdy porty padają jeden po drugim wzięte od strony lądu. Zbędny cały niezmierny wysiłek Niemców, dokonany, by stworzyć "wał atlantycki" i zorganizować jego obronę, skoro wojna przerzuca się w głąb lądu. Zbędne ich dywizje forteczne, kolejno wygniatane, lub brane do niewoli. Zbędny potężny sprzęt, wbudowany w kierunku na morze.

Pojmowali Niemcy obronę tej olbrzymiej "fortecy" zupełnie dosłownie: jako obronę stałą jej zewnętrznego nadbrzeżnego pierścienia z ruchomymi odwodami odcinków i odwodem centralnym. Ale bitwa u normandzkiego wyłomu już pochłonęła ich odwody miejscowe, odwód ogólny, przeważną część odwodów z innych odcinków. Wszystkie te wojska szybkie, pancerne i motorowe, uwikłane są w walkę na śmierć i życie pod Falaise, na południe od Vire i pod Mortain. A daleko w tyle nad Loarą, na drogach do Paryża i bliżej z tyłu pod Alençon i Argentan, posuwają się amerykańskie dywizje pancerne.

WALNA BITWA O FRANCJĘ

Powiedział Napoleon, że "bitwa jest ogniskiem, w którym zbiegają się wielkie linie kampanii". Toczy się z niesłychaną zaciętością taka bitwa, jedna z największych, najdonioślejszych w historii. Toczy się na froncie ograniczonym — 50 mil ang. w locie ptaka. Tuześrodkowali Niemcy połowę prawie wojsk, jakie mieli we Francji i całą prawie ich elitę. Tu atakują czołowo, wśród ciężkich walk armie: brytyjska, kanadyjska, amerykańska. Ale inne armie amerykańskie są już daleko. Wśród ciszy radiowej pożerają przestrzeń dywizje pancerne i zmotoryzowane. Generał Eisenhower nie rad, by znano ich drogi i cele.

Przed bitwą o Jenę Napoleon rzucił silny odwód kawalerii Murata w kierunku na odległe komunikacje armii pruskiej, z rozkazem: "*Inondez la plaine de Leipsick*" /zalejcie równinę lipską/. Ale potem, raptownie ściągnął te masy jazdy na pole bitwy, narzuconej przeciwnikowi.

Amerykańska masa manewrowa zagraża dalekim liniom odwrotowym przeciwnika. Przecięła mu drogę na Orlean, bliża się do dróg odwrotu na Paryż, jedną przecięła już pod Argentan, zastraszająco blisko pola bitwy.

Niemcy stracili już bodaj czas stosowny do odskoku. Po to nacierają z nawałami bombardowań, ognia działowego i masą czołgów Kanadyjczycy, Polacy, Brytyjczycy, Amerykanie na Falaise, pod Vire i Mortain, aby nie dać się Niemcom odczepić. A jeśli spróbują oni odwrotu, lotnictwo sprzymierzone czyha na ten moment, aby ponieść śmierć i zniszczenie w ich kolumny. Z tyłu zaś jest Sekwana bez mostów; na drodze do Paryża wyprzedzają Amerykanie.

Dojrzewa to, co Napoleon nazwał "*evenement*" — moment, w którym z kurzu i dymów bitwy wyłania się zwycięstwo. A nie będzie to, mówiąc językiem Clausewitza, zwycięstwo zwyczajne. Będzie ono decydujące, czy też unicestwiające. "*Vernichtungsschlacht*". Niemcy lubią ten wyraz.

NASZA DYWIZJA PANCERNA

Od blisko tygodnia nasza dywizja pancerna gen. Maczka jest w walce. W ścisłym współdziałaniu z kanadyjskimi i szkockimi towarzyszami broni atakuje od północy ku Falaise. Uczestniczy w kruszeniu niemieckiego frontu. Jej wystąpienie w Normandii i pierwsze boje odezwały się echem niezwykle donośnym w brytyjskiej i amerykańskiej prasie i radiu.

Świetna dywizja, złożona z doborowych żołnierzy o długim, gruntownym wyszkoleniu, mająca już dobrze zapracowaną sławę, że bije rekordy w strzelaniu z czołgów i manewruje równie zręcznie, jak śmiało — była od dawna naszą radością. Dziś mamy już podstawy, by umocnić się w wierze, że stanie się naszą dumą.

Generał Maczek, wprowadzając ją w bój, zapowiedział swym żołnierzom, że mają pomścić krew i cierpienia Warszawy.

Tak, Generale — za Warszawę!

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

6 sierpnia: Oddziały Armii Krajowej opanowały w Warszawie plac Wilsona i dwie przyległe ulice na Żoliborzu.

—Komendant Armii Krajowej w depeszy do Rządu R.P. stwierdził, że "Warszawa w swej walce obecnej nie dostaje pomocy od Sprzymierzonych tak, jak nie dostawała jej Polska w 1939 roku".

—Wojska amerykańskie dotarły do Mayenne, Laval i Vannes. Walki o St. Malo, Brest i Lorient.

—Wojska sowieckie zajęły Drohobycz i przekroczyły Dubicę. Ofensywa na Warszawę zatrzymała się.

—Premier St. Mikołajczyk odbył pierwsze rozmowy z przedstawicielami polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

—Naczelny Wódz powrócił do Londynu z inspekcji II. Korpusu we Włoszech.

—W kościołach katolickich Szkocji odczytano manifest biskupów szkockich w obronie praw Polski.

7 sierpnia: Niemcy kontratakują pod Mortain w Normandii.

—Wojska sowieckie zajęły Sambor i Borysław.

—Dalsze rozmowy prem. Mikołajczyka z przedstawicielami Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Moskwie. Rozmowy zostały zawieszone bez osiągnięcia porozumienia.

8 sierpnia: Oddziały niemieckie mimo oporu Armii Krajowej dotarły do placu Teatralnego.

—Wojska alianckie przerwały linie niemieckie na płd. od Caen i nacierają na Falaise.

9 sierpnia: Ciężkie walki na ulicach Warszawy. Inicjatywa przechodzi w ręce niemieckie, m.in. w rej. Woli i Powązek.

—Wojska sowieckie zajęły Sokołów Podlaski i Węgrów.

—Amerykanie dotarli do Le Mans i Angers. Zajęto St. Malo.

—Oddziały II. Korpusu i oddziały włoskie rozpoczęły nowy atak w rejonie Morza Adriatyckiego. Zajęto m. Francavilla i La Croce.

—Rozmowa Stalin-Mikołajczyk przed opuszczeniem Moskwy przez premiera polskiego.

10 sierpnia: Lotnictwo niemieckie zrzuciło ulotki zawierające ultimatum głównodowodzącego niemieckiego, skierowane do ludności Warszawy.

—Wojska II. Korpusu zajęły Monterado, Corinaldo i Scapezzano we Włoszech.

—Zastępca prezesa Rady Ministrów złożył oświadczenie, w którym powiedział: "Mam podstawy do twierdzenia, że pomoc dla walczących w Warszawie już się rozpoczęła i mam dane, że zostanie ona udzielona w dostatecznych rozmiarach, aby być skuteczną".

—Ogłoszono, że następcą Prezydenta R.P. wyznaczony został w dniu 7 bm. p. Tomasz Arciszewski.

11 sierpnia: Ogłoszono, że polska Dywizja Pancerna, w ramach I. Armii Kanadyjskiej, w dniu 8 bm. weszła do akcji w Normandii, biorąc udział w natarciu na Falaise.

—Wojska amerykańskie przekroczyły Loirę pod Nantes oraz dotarły do Alençon.

—Niemcy opuścili Florencję. II. Korpus polski dotarł do płd. wsch. brzegu rzeki Cesano.

—Warszawa walczy dalej sama. Niemcy atakują Stare Miasto.

12 sierpnia: Ogłoszono, że oddziały II. Korpusu przekroczyły rzekę Cesano.

Wojna na morzu

WSPÓLNYMI SIŁAMI . . .

Wojna obecna obfituje więcej od jakiejkolwiek innej w przykłady strategicznej, taktycznej i operacyjnej współpracy między wojskiem i marynarką. Okazuje się, że marynarka, zachowując swą całkowitą odrębność organizacyjną i taktyczną, współpracuje operacyjnie z lądem bardzo skutecznie. Wystarczy wspomnieć bezpośrednie wsparcie ogniem okrętów działań wojska pod Salerno, Anzio czy na brzegach Francji, wsparcie, które nie tylko dało Sprzymierzonym zwycięstwo, ale w pewnych krytycznych chwilach uratowało formacje lądowe od klęski.

Z punktu widzenia strategii ogólnej udział marynarki i współpraca z wojskiem są jeszcze bardziej znamienne. Brytyjczycy nigdy nie utrzymaliby się w Egipcie, gdyby marynarka nie była im w stanie dowieźć posiłków i zaopatrzenia. Nie byliby w stanie przejść do działań zaczepnych i zdobyć Afryki Północnej bez pomocy tejże marynarki. Z kolei opanowanie Afryki Północnej pozwoliło marynarce na owładnięcie Cieśniną Sycylijską i przygotowanie desantu we Włoszech. Wszystko to działo się na morzu wewnętrznym, w warunkach zbliżonych do Bałtyku.

Udział marynarki w inwazji Francji nie wymaga komentarzy. Z kolei wojsko, odcinając Bretanię i bazy niemieckie na Atlantyku od strony lądu, pomogło marynarce. A znów marynarka sprawiła, że Niemcy nie mogli skoncentrować swych sił lądowych na odcinku, gdzie nastąpił desant, bo . . . obawiali się dalszych desantów, wynikających z panowania Sprzymierzonych na morzu.

Na Bałtyku, o którym często się dziś mówi, że jest "za mały" dla działań morskich, mamy przykłady jeszcze bardziej wymowne. Flota niemiecka, nie mogła się mierzyć z brytyjską, tym niemniej była wystarczająca, aby opanować Bałtyk i uczynić zeń wewnętrzne jezioro niemieckie. Dzięki temu umożliwiła inwazje Danii, Norwegii i krajów bałtyckich, a dziś — gdy piszemy te słowa — jest jedynym narzędziem ratunku dla dywizji niemieckich, odciętych w Finlandii, Estonii i na Łotwie.

Jasne jest, że to morska blokada brytyjska zmusiła Hitlera do rzucenia się na Rosję w poszukiwaniu surowców strategicznych i chleba. Ta blokada odcięła Niemcy od Japonii. Ta wreszcie blokada wyczerpała część zasobów niemieckich, ułatwiając zadania wojska i lotnictwa alianckiego.

Po staremu więc panowanie na morzu — oceaniczne czy choćby lokalne — decyduje o losach wojny.

SIŁA NA MORZU I OPINIA PUBLICZNA

Znany angielski pisarz i historyk /n.b. wielki przyjaciel Polski/ Brian Tunstall napisał książkę p.t. "*Ocean Power Wins*" /Siła morska zwycięża/. Oto co pisze on we wstępie:

"*Publiczność bardzo często myśli, że marynarka w znacznie mniejszym stopniu wpływa na wynik wojny, niż to się dzieje w istocie. Działania na morzu odbywają się z dala, są mniej efektowne od lądowych czy lotniczych, a dla laika znacznie trudniejsze do wyobrażenia i zrozumienia. Tajemnica wojskowa odgrywa w nich również większą rolę niż na lądzie i dlatego wiele rzeczy może być podanych dopiero po wojnie, kiedy szeroki ogół straci zainteresowanie dla tych spraw*".

A dalej:

"*Prasa jest słabo obeznana ze sprawami morskimi i mało mamy dziennikarzy, którzy zadali sobie trud przestudiowania polityki i strategii morskiej. Jest to specjalnie smutne w kraju takim jak W. Brytania, którego istnienie zależy przecież od panowania na morzu. Nie wystarczy, aby dziennikarz piszący o morzu miał nieco doświadczenia w pływaniu i sporo wiadomości technicznych. Bez pogłębienia swej wiedzy w dziedzinie historii i polityki morskiej, będzie on takim samym laikiem w sprawach morskich, jak sprawozdawca polityczny, nieobznajomiony z wiekową działalnością parlamentu, nie orientujący się w wielkich arkanach politycznych. Tak jak nie można być lekarzem nie skończywszy uniwersytetu, tak też nie można być pisarzem morskim, nie zaznajomiwszy się poważnie i głęboko z tą dziedziną*".

W końcu Tunstall wyraża obawę, że jeśli tak dalej będzie i opinia publiczna nie zostanie rzeczowo poinformowana o roli marynarki, to skutki mogą być katastrofalne. Wyborcy, oraz ich przedstawiciele — posłowie, nie docenią wielkiej wagi tych spraw, co w przyszłości wpłynie fatalnie na uchwalenie budżetu i zahamuje rozwój marynarki.

Ze swej strony dodać możemy, że jakkolwiek Polska nie była i zapewne nigdy nie będzie potęgą morską, to jednak zaniedbanie obrony morskiej i żeglugi już trzykrotnie było przyczyną jej klęsk. To też słowa Tunstalla w dużym stopniu dotyczyć mogą i nas, są znamiennym ostrzeżeniem.

Jeden choćby przykład: dzieła Mahana, Castexa, Corbetta, Tirpitza i wiele innych prac z dziedziny strategii i historii morskiej, tłomaczone były niemal na wszystkie języki europejskie z wyjątkiem . . . polskiego. Tirpitza i Corbetta tłomaczyli nawet Czesi, jakkolwiek morza nie mieli. Mahan /"*Influence of Sea Power upon History*"/ doczekał się w Rosji kilku wydań. Ale w Polsce istniało przekonanie, że książki o morzu przeznaczone są tylko dla . . . fachowców.

WOJNA PODWODNA

Podczas gdy 2 lata temu topiono jeden niemiecki okręt podwodny na pięć czy nawet więcej zatopionych statków sprzymierzonych, obecnie stosunek ten się zmienił. Na jeden zatopiony aliancki statek transportowy przypada pięć okrętów podwodnych Hitlera. A choć Doenitz zapowiada nowe jakieś "cuda" — nowe, rewolucyjne okręty podwodne, to jednak wydaje się, że i tym razem Niemcy się spóźnili.

Czy nowe niemieckie okręty podwodne będą kierowane teleelektrycznie, czy posiadać będą jakieś nowe nieznane taktyczne zalety, nie wiemy. Ale opanowanie przez Sprzymierzonych wybrzeża atlantyckiego Francji odbierze im w każdym razie większość szans działania.

Od początku wojny zatopiono ponad 500 okrętów podwodnych Hitlera.

KILKA FAKTÓW

Wypady morskich i lotniczych sił Ameryki sięgają już po brzegi Filipin i Japonii /wyspy Bonin/. Kosztem 16 samolotów, eskadry admirała Nimitza zniszczyły ostatnio między Guam a Filipinami 15 statków japońskich i 3 kontrtorpedowce. Zestrzelono też dużą ilość samolotów japońskich.

Szereg akcji na wybrzeżu Francji obfitował w walki ze ścigaczami niemieckimi, oraz w ataki na niemieckie konwoje przybrzeżne. Jeden taki konwój, złożony z 7 statków, został całkowicie zniszczony pod St. Nazaire. Położenie niemieckich okrętów podwodnych w bazach atlantyckich zaczyna być niebezpieczne: bombardowane z powietrza, blokowane z morza, a zagrożone od lądu — bazy morskie Doenitza we Francji są jeszcze w gorszym położeniu od norweskich. Okazuje się znów, że nie wystarczyło mieć *Luftwaffe* . . . Trzeba było bardziej dbać o marynarkę. Wówczas i desant na Anglię byłby możliwy, gdyby był istniał choćby taki stosunek między siłami Niemiec i Anglii, jak w ubiegłej wojnie.

Bombardowany kilkakrotnie z powietrza "Tirpitz" pływa znowu. Jest to także jeden dowód żywotności wielkich okrętów liniowych. "Scharnhorst", któremu przez 8 miesięcy bombardowań w Brest lotnictwo nic nie mogło zrobić, zatopiony został ogniem i torpedami okrętów brytyjskich w ciągu kilku godzin.

Dawniej uważano, że działo na brzegu warte jest okrętu na morzu, że artyleria obrony wybrzeża ma przewagę nad artylerią okrętową. Oczywiście w pomyślnych warunkach można staranować okręt, albo zatopić go ogniem baterii nadbrzeżnych. Jednakże inwazja Francji i Włoch wykazała, że przy właściwej koncentracji ognia, okręty potrafią zmusić do milczenia działa na lądzie. Akcje "Dragona", "Ślązaka" i "Krakowiaka", które podeszły niemal pod sam brzeg i wielokrotnie wspierały ogniem działania wojsk własnych, są żywym tego przykładem. Działa niemieckie ciężkie i polowe nie sprostały zadaniu, mimo że posiadały nieraz potężne schrony w wale atlantyckim. Prawda — marynarce pomogło lotnictwo własne. Ale nie zawsze, bo w Kanale często przeszkadzała mu pogoda, a pod Salerno lotnictwo po dwu dniach wyczerpało swoje możliwości operacyjne. To też po staremu marynarka musiała sama w wielu wypadkach decydować o losie operacji — zawsze z pomyślnym skutkiem. W pierwszym dniu inwazji Francji okręty sprzymierzone wystrzeliły około 100.000 pocisków do najcięższych kalibrów włącznie.

Cyfry niemieckie, podające rzekomą ilość zatopionych statków sprzymierzonych w czerwcu, są przesadzone o 1000%. /Niemcy podali 51 statków handlowych o łącznej pojemności 312.000 ton i 42 okręty wojenne!/. Natomiast z całą pewnością stwierdzić można, że w tymże miesiącu sprzymierzeni zatopili na wodach Francji 200 jednostek pływających nieprzyjaciela, w tym 17 okrętów podwodnych i 2 kontrtorpedowce.

Charakterystyczne jest, że niemieccy komendanci morscy w Brest i Lorient mieli ochotę nawiązać rokowania i poddać się. Ale Gestapo i wojsko zmusiło ich do dalszej walki.

JULIAN GINSBERT

Naczelny Wódz na froncie włoskim

W Ankonie

Już po zdobyciu Loretto, dowiedzieliśmy się że przyjeżdża do nas Naczelny Wódz. Wiadomość o tym rozeszła się w okresie bardzo gorącym, gdy Korpus nasz przygotowywał się do ostatecznego uderzenia na Ankonę. O przyjeździe generała Sosnkowskiego dowiedzieliśmy się 17-go lipca, gdy czołgi Brygady Pancernej forsowały ostatnie przed Ankoną punkty niemieckiego oporu.

17-y i 18-y lipca, były dla żołnierzy polskich, walczących nad Adriatykiem, szczególnie ciężkie i krwawe. Niemcy postanowili zrobić wszystko, aby Polaków do Ankony nie wpuścić. Zrzucali całymi masami ulotki, "Wanda" bez przerwy prosiła, abyśmy przyjęli jej "piękne" hasło: "do domu". Prócz perswazji na wskroś pokojowych, gęsto waliła niemiecka artyleria i szukały nas po jarach i drogach moździerze.

Wśród białego kurzu i wielkich upałów, z frontu jechały sanitarki; na front przedzierały się pod gęstym ogniem wozy z zaopatrzeniem. Posuwająca się za czołgami piechota, zlana krwawym potem musiała walczyć w akcji oczyszczającej — o każdy dom i każdą dziurę w ziemi. Nie zrozumie i nie doceni wysiłku żołnierzy II-go Korpusu ten, kto nie widział naszych ostatnich dwu dni przed zdobyciem Ankony. Nie poznaliby żołnierzy polskich w dniach Ankony, Włosi, tylko z krótkich odpoczynków znający elegantów "Karpackiej", "Kresowej", Brygady Pancernej.

17-go, już w godzinach rannych, opór główny został całkowicie złamany. Do dowództw polskich przybyły pierwsze transporty jeńców, na drogach przyfrontowych coraz częściej spotykało się niemieckie samochody i motocykle zabrane nieprzyjacielowi w stanie niezniszczonym. W południe tego dnia, Niemców ogarnął popłoch. Czołgi polskie, jechały naprzód całą siłą motorów. Stacje radiowe podawały coraz weselsze wiadomości. Padały — wzgórze po wzgórzu, miasto po mieście; rozpadały się całe niemieckie bataliony. Coraz cichsza stawała się niemiecka artyleria. W południe tego dnia, Niemcy wiedzieli już doskonale, że Ankony nie utrzymają.

Działania polskie na froncie Ankony rozpoczęły się 17-go, o świcie, wielką nawałą artyleryjską, poprzedzoną bombardowaniem z powietrza. Około ósmej rano, wszystkie oddziały Korpusu ruszyły do natarcia. W ciągu dnia Polacy osiągnęli wiele miejscowości otaczających Ankonę. Wieczorem tego dnia, Dowódca Korpusu generał Anders, podziękował publicznie Dowódcy Brygady Pancernej, która w olbrzymiej mierze przyczyniła się do zdobycia silnie bronionych punktów niemieckiego oporu.

Nazajutrz, pułki pancerne i piechota poszły znowu naprzód. Pułki ułańskie działały samodzielnie, dokonując szaleńczych ataków na miejsca, gdzie bardzo często siły liczebne nieprzyjaciela kilkakrotnie przewyższały szeregi pędzących naprzód ułanów. Dzięki ofiarnej postawie wszystkich broni współpracujących z czołgami, pułki pancerne, uchwyciwszy Agugliano, skierowały się ku drodze nadmorskiej nr. 16. We wczesnych godzinach popołudniowych szwadrony "Czwartaków" doszły po wspaniałej walce i rozgromieniu całego niemieckiego batalionu, do leżącego nad Adriatykiem portu Marina, na zachód od Ankony. Droga nr. 16 została przecięta.

Mniej więcej w tym samym czasie, Ułani Krechowieccy zdobyli po ciężkich walkach ważne wzgórze Castelferetti. Nieco później, szwadrony tego pułku osiągnęły rzekę Esino. W walkach o wzgórza Krechowiacy rozbili batalion Niemców świeżo sprowadzony spod Rimini. Grupa "Bob", złożona z "Dzieci Lwowskich" i Pułku Ułanów Poznańskich, przebijając sobie drogę do Chiaravallo, doszła również do rzeki Esino. Lwowska Brygada Piechoty dotarła do morza i przecięła drogę nr. 16. Do Ankony, pierwsze weszły szwadrony Karpackiego Pułku Ułanów i szwadrony "Czwartaków". . .

Walcząc o Ankonę, wojska polskie w ciągu dwóch dni wzięły do niewoli kilka tysięcy jeńców. Ponadto zdobyto wiele dział, pojazdów wraz z końmi i wiele tysięcy skrzyń amunicji, broni naszynowej i wszelkiego zaopatrzenia. Te dwa dni były dla Niemców dniami prawdziwego pogromu. Jeńcy jednogłośnie opowiadali, że atak polski był dla wszystkich wojsk niemieckich przygotowanych do obrony Ankony — kompletnym zaskoczeniem. Zresztą, niepotrzebne były relacje jeńców. Polacy sami widzieli w pierwszym dniu walki, kiedy czołgi nasze wjeżdżały między pierwsze domy tego czy innego miasteczka, że Niemcy śpią jeszcze po chałupach i zbudziwszy się, uciekają na oślep w kalesonach.

W godzinach popołudniowych, w kilka minut po zajęciu Ankony, po zmęczonych sercach polskich, poszła wiadomość o przyjeździe Naczelnego Wodza. Jeszcze tego dnia generał Sosnkowski był w Ankonie. Mimo próśb, Naczelny Wódz pojechał pod ogniem, nieprzetartą jeszcze, wojenną drogą. Pierwsze godziny w zdobytej Ankonie obfitowały w wypadki przejmujące nas wielkim smutkiem. W Ankonie zginął, rozbrajając miny, podporucznik Karpackiego Pułku Ułanów, Adolf Maria Bocheński. "Smukły porucznik", na wieść o przygotowywanym ataku na Ankonę, uciekł ze szpitala, gdzie leżał z postrzelanymi rękoma i nogami. Poszedł do wozu pancernego z jedną ręką na temblaku. Poszedł, i wszedł do Ankony jako jeden z pierwszych. W przeddzień zdobycia Ankony zginął szef sztabu Brygady Pancernej mjr. dypl. Stanisław Drzewiecki. A ilu zginęło innych? Ilu odniosło rany? Ile razy, zanim się osiągnęło Ankonę, uszy ogłuszał huk rozrywającej się miny? Ale wreszcie skończyło się. Ucichły w rejonie portu i miasta strzały i wybuchy min. Nad ruinami Ankony powiała polska flaga.

Naczelny Wódz, do chwili gdy piszę te słowa, odwiedził już wiele oddziałów. Rozmawiał z wieloma żołnierzami, interesował się każdym szczegółem naszego trudnego życia. Wczoraj generał Sosnkowski przybył w towarzystwie Dowódcy Korpusu na święto Ułanów Krechowieckich. Śmiem twierdzić, że kilka godzin, jakie Naczelny Wódz spędził z ułanami, długo będą świeciły w jego pamięci kolorami pięknej, żołnierskiej serdeczności. Ułani, odjeżdżającego najwyższego swojego dowódcę wynieśli do auta na rękach. Razem z Naczelnym Wodzem płynął na ułańskich rękach, generał Anders. Żołnierze mieli łzy w oczach. Wiem, że w tych chwilach, ułani myśleli o jednym: że oto, wtedy, gdy jest im najciężej, najtrudniej, przybywa do nich ich najstarszy dowódca. Przybywa, z serdecznym słowem i uśmiechem. Każe wierzyć, gdy zapewnia, że po trudach długiej i ciężkiej walki, czeka nas — Polska.

Na wieść o utworzeniu w Rosji fikcyjnego "rządu polskiego" i jakiegoś cudackiego "dowództwa" wojskowego, żołnierze Drugiego Korpusu Polskiego we Włoszech, skupili się jak jeden przy swoim Naczelnym Wodzu i Dowódcy swojego Korpusu generale Andersie.

Naczelny Wódz na tym samym święcie, które odbyło się u stóp zdobytej Ankony, zapewnił, że: "Nie ma na świecie siły, któraby potrafiła nas oderwać od tego wszystkiego, co składa się na trudne, żołnierskie życie, mające na celu doprowadzenie nas wszystkich do prawdziwie wolnej i prawdziwie sprawiedliwej Polski".

Minęliśmy Ankonę. Idziemy dalej. Niech tam sobie powstają marionetkowe "rządy" i "dowództwa". Dla nas ważne jest, jak powiedział dowódca frontu włoskiego generał Alexander, gdy Naczelny Wódz dekorował go przedwczoraj na stadionie ankońskim orderem "Virtuti Militari", że: "wielkie swoje sukcesy we Włoszech, Sprzymierzeni zawdzięczają wspaniałym żołnierzom Drugiego Polskiego Korpusu, którzy zdobyli Cassino i Ankonę". Dla nas ważne jest, że mamy dowódców, którzy nas poprowadzą na każdą dolę, którym my zawsze będziemy wierni, wiernością żołnierzy i Polaków.

Włochy w końcu lipca

JERZY BAZAREWSKI



W czasie swego dwutygodniowego pobytu wśród żołnierzy II. Korpusu Polskiego we Włoszech, Naczelny Wódz miał sposobność być świadkiem boju o Ankonę, uczestniczył w rozmaitych uroczystościach, jak odwiedziny Króla Jerzego u naszych oddziałów, audiencja u Ojca Św., dekoracja generałów: Wilsona, Alexandra i Leese'a wysokimi odznaczeniami polskimi, dekoracja gen. Andersa amerykańskim "*Legion of Merit*", złożył wiele wizyt oficjalnych m.in. dowódcy 5-ej Armii gen. Clark'owi, ale przyglądał się też pracy i życiu szarego żołnierza: sapera, łącznościowca, "Pestki".

Dwa zdjęcia reprodukowane obok przedstawiają ochotniczki "Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet" przy pracy na froncie włoskim.

Poniżej umieszczone przemówienie wygłosił Naczelny Wódz dnia 24 lipca na dorocznym święcie 1. Pułku Ułanów Krechowieckich.



Przemówienie do Krechowiaków

Pierwszy Pułk Ułanów Krechowieckich! Jakże dumne to imię, jak wiele wspomnień, szczytnych legend i wzruszających opowieści żołnierskich nazwa ta przywodzi na pamięć. Zmarły Naczelny Wódz, Marszałek Józef Piłsudski często do mnie mówił, że w wojnie 1918 — 1920 nasza kawaleria wedle jego oceny, odegrała na polach bitewnych wielką rolę. A wśród pułków kawaleryjskich, jednym z najświetniejszych, najpiękniejszych, najwspanialszych był Pułk Krechowieckich Ułanów. A jednym z organizatorów Pułku był generał Anders, Wasz zwycięski dowódca, najstarszy bodaj z obecnych dawnych Krechowiaków . . . Pułk Ułanów Krechowieckich . . . 97 Krzyży "Virtuti Militari", 637 Krzyży Walecznych, przeszło dwustu oficerów i ułanów poległych, ponad czterystu oficerów i ułanów rannych, setki zdobytych dział, ponad 10.000 jeńców, oto najkrótsze streszczenie dziejów Waszego dumnego Pułku w ubiegłej wojnie.

Przyszła kampania 1939 roku i oto Krechowiacy znów na polach bitew na terytorium nieprzyjacielskim chlubnie spełniają swój obowiązek żołnierski. Dzisiaj tradycja Waszych poprzedników wcieliła się w Was, Ułani. Godni jesteście czarno-błękitnych wstęg, zawieszonych na Waszym Sztandarze ręką Naczelnego Wodza, Marszałka Józefa Piłsudskiego. W marszu poprzez ziemię włoską stoczyliście liczne boje, zdobyliście Castelfidardo, Osimo; 31 dział i 170 jeńców wróg pozostawił w Waszym ręku. Hojnie zrosiliście krwią swoją szlak waszej wędrówki, spłacając dług Ojczyźnie.

Cieszę się, że spotykam się z Wami w tych chwilach na polu zwycięskiej bitwy pod Ankoną, skąd pobity przez Was nieprzyjaciel uszedł w popłochu. Mamy wiele powodów do zadowolenia i dumy. Cieszy mnie Wasza krzepa i Wasz wspaniały duch bojowy. Ale przede wszystkim chciałem być z Wami dzisiaj, gdy jasne się stało, że na Polskę idą czasy ciężkie, z którymi trzeba się będzie zmierzyć i wyjść z tych zapasów zwycięsko. W chwilach podobnych żołnierz czuje się najlepiej społem w swojej żołnierskiej gromadzie. Stale powtarzam z głębi przekonania, że nie znam silniejszych uczuć na ziemi, niźli uczucia, które łączą dowódców i szeregowych w jedną wielką rodzinę żołnierską na polu bitwy.

Najdrożsi Chłopcy, zdaję sobie sprawę, że w bitwie jak to w bitwie, pot się z czoła leje, krwawa mgła oczy przesłania, znój ciało do ziemi przybija, ręce mdleją od dźwigania ciężkiego sprzętu. Wśród tej bojowej pracy czasu nie ma myśleć o innych rzeczach. Ale w czasie odpoczynku głowę obsiada niejedna myśl natrętna, niejedna troską o najbliższych, pozostawionych w Polsce, o bezpieczeństwo ognisk rodzinnych, o zagony, o domy ojczyste, zaś przede wszystkim troska o wyzwolenie Polski, wyzwolenie takie, jak my je rozumiemy. Nie ma na świecie siły, któraby nam wmówić potrafiła, że są inne sposoby rozumienia sprawy.

Pragniemy Polski całej, prawdziwie niepodległej, prawdziwie wolnej, ze wszystkimi miastami i wsiami, Polski, rządzonej przez prawdziwych Polaków, a nie przez tych sfałszowanych dekretem obcej potencji.

Pragniemy Polski rządnej i sprawiedliwej, gdzie dzielny lud polski będzie posiadał pełnię praw moralnych i materialnych. Pragniemy Polski ukształtowanej naszymi własnymi rękami, Polski ładu, porządku, dobrobytu i szczęśliwego życia.

Sytuacja Ojczyzny naszej jest w tej chwili ciężka. Nie pierwszy raz to się zdarza w historii naszej i w naszym żołnierskim życiu. Ale nie ma sytuacji bez wyjścia. Sięgam pamięcią we własne wspomnienia, w odległe czasy, kiedy pod komendą Piłsudskiego toczyłem boje w latach 1914 — 1916, gdy garstka szaleńców, wtłoczona między dwie zaborcze potęgi, walczyła z obiema po kolei. Pamiętam długie miesiące spędzone w więzieniu magdeburskim i te dni czarne, kiedy przez okno swojej celi widziałem setki pociągów niemieckich sunących z frontu wschodniego na zachodni w odstępach pięciominutowych, kiedy nawet do mojej samotni więziennej, odciętej całkowicie od świata, dochodziły już nie krzyki, ale ryki triumfującej niemczyzny.

Myślałem wówczas, że dzień wolności jest daleki. Jeden z zaborców triumfował, drugi nie został jeszcze rzucony na kolana. Zdawać się mogło wówczas w więzieniu, że nad Polską zamyka się wieko trumny. A tymczasem, w niewiele miesięcy potem, Polska powstała wielka, silna i niepodległa, Polska od Zbąszynia po Stołpce, od Zakopanego po Gdynię.

Mamy więc ciężkie czasy przed sobą. My, żołnierze, wiemy, że kryzysy powstają nie tylko w boju, nie tylko na polu bitwy, ale również i w życiu narodu, które jest jak gdyby ciągłą bitwą o egzystencję, o bezpieczeństwo, o wielkość narodu. Chwile kryzysów wymagają wielkiego wysiłku i silnych charakterów. Wiem, że cechy te posiadacie. Wiem do kogo przemawiam. Wiem jaki jest żołnierz II-go Korpusu, żołnierz, który przeszedł przez łagry, więzienia, tajgi i tundry północy, przemierzył pustynie, przepłynął morza i wszedł na zwycięski szlak, wiodący przez ziemię włoską.

Czasy są ciężkie, ale taki żołnierz, jak Wy, każde czasy znieść potrafi i do zwycięstwa dojdzie, bo dojść musi, a duch jego jest nieugięty.

Chłopcy Moi Najdrożsi — wierzę w Was głęboko, macie całe moje uczucie i serce. A wszyscy razem, jak tu jesteśmy, wierzymy, że jak mówi kaznodzieja, choć siejba jest ciężka i krwawa, żniwo odbędzie się w weselu.

Wierzę, że ta wojna nie może się zakończyć krzywdą Polski, bo świat zbudowany na tak straszliwej niesprawiedliwości, rychło rozpaść by się musiał. Trwała polityka jest ta jedynie, która opiera się o prawa moralne. Polityka pozbawiona podstaw moralnych, oderwana od nich, sama sobie słowa "Mane, Tekel, Fares" wypisuje na stronicach historii.

Wierzę, że Sprzymierzeni dotrzymają słowa i obietnicy. Słowo za słowo, wierność za wierność. Zaś przede wszystkim wierzę w niezgłębioną mądrość wyroków Bożych.

Wierzę, że naród tak ciężko, tak straszliwie doświadczony w cierpieniu jak nasz, ręka Najwyższego prowadzi poprzez ścieżki strome, skaliste, ciernistе i krwawe ku zwycięstwu i prawdziwej wielkości.

W tym przeświadczeniu składam Wam kochani Chłopcy życzenia, aby sława żołnierska, kochanka pól bitewnych, szła z Wami, abyście jak najrychlej weszli na ziemię ojczystą witani kwiatami i uśmiechami dziewcząt. Aby każdy z Was po tylu trudach fizycznych i duchowych zaznał w szczęśliwej Ojczyźnie wiele dobrze zasłużonego szczęścia osobistego.

Z historii O.R.P. "Krakowiak"

Jedna noc na Dodekanezie



O.R.P. "Krakowiak": na patrolu w czasie sztormu

Już od samego rana zaczęły napływać meldunki radiowe od naszych samolotów wywiadowczych. Meldowano zewsząd wzmożony ruch statków, których Niemcy używają do zaopatrywania wysp Dodekanezu.

Cały dzień patrolowaliśmy powierzony nam odcinek w towarzystwie dwóch kontrtorpedowców brytyjskich. Tego dnia pod wieczór przyszedł meldunek od samolotu: "W porcie "K" zakotwiczył na noc konwój nieprzyjacielski"; a niedługo po nim rozkaz Admiralicji: "Kontrtorpedowce . . . zbombardować port "K"".

—"Będziemy dziś w nocy mieli zabawę" — powiedział ktoś w locie, znikając w drzwiach z depeszą do dowódcy.

Nie ulegało wątpliwości, że czeka nas ciężkie zadanie. Port leży daleko na zapleczu wroga, daleko od naszych baz, daleko od osłony własnego lotnictwa.

Olbrzymia, złota tarcza słoneczna powoli stacza się na horyzont, a na jej miejsce wschodzi na bezchmurnym niebie srebrna kula — księżyc w pełni. Noc niczym się nie różni od dnia. Zupełna cisza w przestworzach, ani jednej chmurki, najlżejszego nawet podmuchu wiatru, któryby spowodował zmarszczki na wodzie, a tym samym zatarłby cienie kontrtorpedowców mknących pełną parą do wyznaczonego celu.

Wyszedłem na pokład. Z obydwu stron ląd. Idziemy między wyspami, już na nieprzyjacielskim terenie. Tu i ówdzie mrugają blade światełka znacząc zapewne przejścia lub służąc jako ostrzeżenie dla własnej żeglugi wroga przed polami minowymi czy mieliznami. Załoga w alarmie bojowym. Obsługi dział, nieruchome na swych stanowiskach, czujne i jak najdokładniej obserwujące. Jesteśmy przecież w "gościnie" i każdej chwili może być niespodzianka.

Mimo woli sprawdziłem, czy pas ratunkowy nie przepuszcza. Ktoś głośniej zaklął pod adresem księżyca:

—"Łysy, szlag by go trafił!".

Parę minut przed dwudziestą pierwszą usłyszałem w tubie głos oficera nawigacyjnego:

—"Dochodzimy do celu" — meldował dowódcy.

Wyjrzałem. W poświacie księżyca, choć jeszcze zda się daleko, ciemnieje przed nami ląd. Przez lornetę widać już ciemniejsze i jaśniejsze plamy: to załamania i wgłębienia pobrzeżnych skał. Za kilkanaście minut już widać to wszystko gołym okiem.

Zbliżamy się coraz bardziej, okrążając małą wysepkę, zasłaniającą wejście do zatoki, na której końcu znajduje się cel naszej "wizyty". Kontrtorpedowce, jak marionetki kierowane niewidzialną siłą, zataczają łuki i zygzaki. Jeden za drugim, sprawnie i cicho podchodzą jak pantera do upatrzonej ofiary.

Powoli wchodzimy w wąską, długą na parę mil zatokę. Któż myśli o tym, że może być zaminowana, że idziemy bestii prosto w paszczę, że lada chwila ze wszystkich stron mogą gruchnąć działa artylerii brzegowej, odcinając wyjście na morze? . . .

Bezwiednie wszyscy na pokładzie rozmawiają półgłosem, aby nie gwałcić ciszy i powagi sytuacji; wszystkie oczy skierowane są tam, skąd najbardziej spodziewamy się kontrakcji; no, i w niebo, gdyż stamtąd czeka nas zwykle dużo niespodzianek. Im bliżej podchodzimy do celu, tym bardziej wzrasta napięcie:

—"Czy też Niemcy otworzą do nas ogień?" — odzywa się ktoś przy dziale, mówiąc specjalnie głośno, aby przerwać aż dzwoniącą w uszach, przykrą ciszę.

—"Było by dobrze, wiedzielibyśmy gdzie są ich stanowiska baterii, a zgasić ich — zawsze zgasimy" — powiedział ktoś inny bardzo pewnym głosem.

—"Niech lepiej milczą" — odburknął pierwszy /widocznie "miał cykorię"/.

Na tym się skończył dialog i znowu nastała cisza i oczekiwanie.

Po pewnym czasie wąska cieśnina zamienia się w szerokie rozlewisko wody, tworząc jakby duże jezioro w głębi lądu. Po lewej burcie mrugnęło światełko i zgasło natychmiast. Idziemy prosto na to miejsce. Sądzę, że ktoś zapłacił życiem za nieprzestrzeganie *"black-out'u"*.

Jeszcze chwila i z kontrtorpedowca dowodzącego, idącego na przodzie —salwa. Pociski oświetlające poszły w kierunku celu, a w chwilę potem mroki, których nie potrafiła rozjaśnić pełnia księżyca, ustąpiły oślepiającemu blaskowi pocisków świetlnych. Całkiem na wprost, w odległości nie większej niż pół mili, w dolinie między dwoma górami, miasteczko i port "K". Na przednim planie molo, a przy nim zakotwiczony statek nieprzyjacielski. W to miejsce natychmiast kieruje się ogień dział. Kilka salw i statek pochyla się na burtę; jeszcze salwa i z wnętrza wydostają się płomienie, są zrazu nikłe, potem potęgują się coraz bardziej, aż statek strzela w niebo snopem iskier i cały staje w ogniu. Wróg milczy. Ani jednym ruchem nie chce zdradzić swych sił.

Radość wśród załogi i pewność siebie. Celność ognia dział dodaje otuchy.

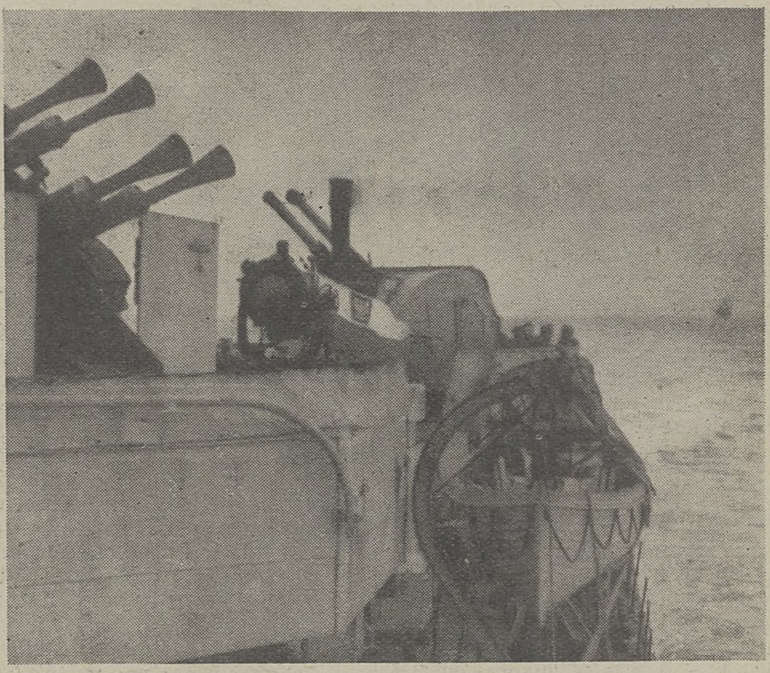
Chodzimy tuż przy lądzie. Kontrtorpedowce zieją bez przerwy morderczym ogniem. W świetle wybuchających pocisków widać kikuty zbombardowanych urządzeń portowych i betonowych nadbrzeży.

Jest wojna. Okręty starają się strzelać tylko na port, aby oszczędzić miasto i ludność, która nie jest niemiecka. Jakże jednak często pociski rekoszetują, a odbiwszy się od pochyłości skał wybuchają daleko za celem, w spokojnym mieście, znacząc miejsce upadku purpurową fontanną ognia zmięszanego z gruzem. Nie czas w tej chwili rozmyślać o tym. Naszą rzeczą jest przeszkodzić wrogowi w wykonaniu planów i dumni jesteśmy, że to my, Polacy, wespół z Brytyjczykami, w piątym roku wojny, tysiąc mil od naszych granic, możemy zadawać Niemcom śmiertelne rany.

Co pewien czas słyszę w tubie spokojny głos dowódcy:

—"Cel taki i taki . . . otworzyć ogień" lub: "Szybciej strzelać". Artylerzyści zwijają się jak mogą, aby celniej, aby szybciej, aby Szwaby pamiętały Polaków.

Ląd milczy jak zaklęty. Niemcy za wszelką cenę nie chcą zdradzić swych lądowych stanowisk i sił. Akcja przeciąga się. Już dziesiąta, pół do jedenastej. Strzelamy bez przerwy. Bombardujemy wszystko, co by mogło wrogowi służyć do akcji przeciw nam.



O.R.P. "Krakowiak": pompomy gotowe do akcji

Jedenasta czterdzieści pięć /akurat podczas zwrotu/ po prawej burcie dwa olbrzymie wybuchy. Zwykła rzecz, wiedzieliśmy, że to musi nastąpić wcześniej czy później. Samoloty nieprzyjacielskie przyszły na pomoc bombardowanemu portowi.

Znowuż atakują, znowu bomby. Padają szybko komendy. Natychmiast cała uwaga skupia się na wibrujący w swej czystości lazur południowej nocy. Już z kontrtorpedowców idą w niebo serie pocisków jak olbrzymie sznury korali.

Sytuacja staje się trudna. Mają nad nami przewagę, bo są tuż obok swoich baz, w świetle księżyca widzą nas dokładnie, podczas gdy w ciemnym błękicie przy lekkiej mgle samolotu dojrzeć nie można. Mimo to będziemy się bronić, ile nam tylko starczy sił. Tu nie ma wyboru. Albo zwyciężyć i wyjść cało — albo zginąć . . .

Jeszcze kilka salw na ląd, spenetrowanie kilku załamań wybrzeża w poszukiwaniu żeglugi i dowódca zespołu daje rozkaz wyjścia z cieśniny. Zadanie spełnione.

Powrót! — Kontrtorpedowce, jeden po drugim opuszczają zatokę. Szczęśliwie . . .

Nie mamy jednak zbyt długo spokoju. Zaraz po wyjściu obserwatorzy meldują samoloty nieprzyjacielskie. W tubie słyszę nerwowy, ostry głos:

—"Atakuje!!!"

Już okręt drga od salw. Kurz, którego mikroskopem byś nie dojrzał w normalnym czasie /n.p. podczas przeglądu/ teraz powyłaził z najgłębszych dziur, aby połączyć się z ogniem i dymem dział.

Padają bomby. Daleko. Ma się wrażenie, że ktoś olbrzymich rozmiarów drewnianym młotem uderza o dno okrętu. I znowu spokój.

"Krakowiak" idzie całą siłą maszyn. Do przebycia sto pięćdziesiąt mil morza zajętego przez nieprzyjaciela, po drodze kilkanaście wysp, które trzeba ominąć, aby się nie narazić na ogień dział artylerii brzegowej. Nad nami księżyc w pełni i nieprzyjacielskie samoloty, które jak natrętne osy idą w ślad za nami. Oto sytuacja. W mózgach tylko jedno: "Wyjść cało". Nie dostać się w łapy Niemców.

Mkniemy naprzód, ile tylko maszyny potrafią wytrzymać. Czas dłuży się niemożliwie. Pół do pierwszej, pierwsza, druga . . . Ataki nie ustają, ogień kontrtorpedowców jest jednak tak silny, że bomby padają daleko i to dodaje nam otuchy.

—"Szwaby nawalają" — próbuje żartować kolega, lecz wybuch i strzały przerywają w pół zdania.

Koło trzeciej, kontrtorpedowiec idący za nami nagle zastopował. Meldunek przez radio:

—"Jestem trafiony, nie mogę iść dalej".

—"Jak? Gdzie? Kiedy?" — padają urywane pytania. Co się stało? Nie widzieliśmy przecież wybuchu, choć szedł tuż za nami.

Okazuje się, że bomba szybowcowa trafiła i nie eksplodowała. Nawet nikt nie jest ranny.

Trzeba ratować przyjaciela. Nie może iść o własnych siłach, drugi więc podał mu liny holownicze, podczas gdy my spełniamy rolę osłony. Sytuacja bardzo krytyczna. Nie możemy iść pełną parą, ba . . . nawet mowy nie ma o szybkości z rannym, holowanym okrętem. Do świtu dwie godziny, amunicji trzeba oszczędzać, bo kto wie jak długo akcja się przeciągnie. Jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły, to też pomimo fizycznego wyczerpania, ile razy obserwatorzy zameldują: "samolot!", ogień nie milknie ani na chwilę.

Nie wiem, czy ktoś tej nocy zastanowił się nad sytuacją, w jakiej się znalazły nasze trzy kontrtorpedowce. Nie wiem, czy ktoś tej nocy miał czas pomyśleć o czym innym, niż: "Musimy dojść szczęśliwie po wykonaniu zadania".

Znowu atak i znowu atak . . .

Na wschodzie zaróżowiła się jutrzenka, a z nią . .-. O radości! . . . Na horyzoncie trysnęły rakiety kolorowe. Własne myśliwce dalekiego zasięgu dawały znać o sobie. Jesteśmy ocaleni!

W dwie godziny potem przyszedł sygnał Admiralicji:

—*"Well done"*.

MIECZYSŁAW TATARYNOWICZ

W dymie pożarów

Bój o Warszawę trwa nadal. Ogromna przewaga techniczna Niemców z jednej strony, konieczność oszczędzania amunicji przez nasze oddziały z drugiej strony — zmieniły obraz walki. Po pierwszych ciężkich ciosach Niemcy zdołali przyjść do sobie, a nawet od dnia 7.VIII. b.r. przejąć inicjatywę. Dzięki użyciu czołgów, artylerii, miotaczy ognia, pociągów pancernych, kanonierki i lotnictwa, atakującego zarówno bombami wszelkiego typu, jak i bronią pokładową — wyborowe oddziały niemieckie opanowały i utrzymują trzy zasadnicze szlaki przelotowe, a mianowicie: 1/ szosa Krakowska — Al. Grójecka — Al. Jerozolimskie — Most Poniatowskiego, 2/ Wolska — Leszno — Chłodna-Elektoralną — Plac Teatralny — Most Kierbedzia, 3/ Czyste — Dworzec Gdański — Most Kolejowy.

Posiadanie tych szlaków zapewnia Niemcom wielorakie korzyści. Nimi to biegnie zaopatrzenie wojsk, walczących na wschód od Warszawy i one to w razie potrzeby będą drogami odwrotu. One to wreszcie dzielą obszar, opanowany przez nasze oddziały na kilka części. Ich brak utrudnia nam łączność, zaopatrzenie i dowodzenie, Niemcom ich posiadanie ułatwia kolejne uderzanie na poszczególne rejony oporu i pozwala zachować inicjatywę.

Gwałtowne, drogo okupywane przez obie strony walki toczą się w dzień, jak i w nocy. W dzień stroną atakującą są częściej Niemcy, natomiast noc jest porą naszych licznych i udanych wypadów. Oddziały polskie nie rezygnują z zaczepności. Poza Wolą, którą opuściliśmy w boju i postępami naszymi na Żoliborzu — stan posiadania obu stron utrzymuje się bez większych zmian. Niezwykle ciężkie zmagania toczyły się ostatnio o Stare Miasto, z którego oddziały nasze zagrażają obu niemieckim arteriom przelotowym: na mosty Kierbedzia i Kolejowy. Po starannym, bardzo silnym przygotowaniu artyleryjskim — Niemcy w dniach 11, 12, 13 i 14 sierpnia przypuścili cztery kolejne potężne uderzenia. Teren przechodził z rąk do rąk — został jednak przez nas utrzymany silnymi przeciwuderzeniami.

Zachowanie się Niemców względem bezbronnej ludności Stolicy, jak i żołnierzy Armii Krajowej — bestialskie ponad wszelki wyraz. Zwlekanie Sprzymierzonych z publicznym potwierdzeniem charakteru Armii Krajowej, jako kombatanta, którym jest bez wątpienia — rozzuchwaliło, rzecz jasna, dowództwo niemieckie. Rozrzucona przez nie ulotka z ultimatum, przetłumaczona na znany nam język rzeczywistości oznacza: wymordowanie walczących, wywiezienie na roboty reszty mężczyzn i młodzieży, obóz koncentracyjny dla starców, kobiet i dzieci oraz zupełne złupienie i zniszczenie miasta.

W dalszym ciągu Warszawa walczy samotnie. Front niemiecko-sowiecki nie ma, jak dotychczas, żadnego wpływu na przebieg boju o Warszawę. Zmusiło to dowódcę Armii Krajowej generała Bora do wydania w dniu 14.VIII. r.b. rozkazu, aby wszystkie rozporządzalne jednostki Armii Krajowej uderzyły z zewnątrz na Warszawę. Chodzi tu zapewne o jednostki, których tego rodzaju użycie było z góry przewidywane.

Pomoc ze strony brytyjskiej po stracie wielu cennych dni — niewystarczająca. A przecież Warszawa leży w zasięgu lotnictwa Sprzymierzonych, które rzucone w większej sile mogłoby do niej dotrzeć bez żadnych niemal strat. Przed kilku dniami — bombardowano obiekty pod Gdynią i pod Krakowem. Podczas jednego z raidów załogi doskonale widziały płonącą Warszawę. Każdej nocy i dnia z terenów, zajmowanych przez Sprzymierzonych startują na wyprawy bojowe tysiące samolotów. Drobny ich ułamek wystarczyłby na ocalenie Warszawy.

Chodzi dosłownie o paręset samolotów jednorazowo z uzupełnieniem zużytego w ciągu kilkunastu dni walk uzbrojenia, następnie o parę dziesiątków samolotów każdej nocy z amunicją i wreszcie o bombardowanie pewnych obiektów i lotnisk. I pomyśleć, że od tych kilkuset w sumie samolotów zależy los Warszawy, zależy, tak uparta dotychczas, wiara nasza w Zachód!

Warszawa krwawi, Warszawa płonie. Mimo to duch oddziałów walczących i ludności — godny podziwu. Sytuacja jest ciężka. Walcząca Stolica wie o tym dobrze. A jednak nastrój jej jest znacznie lepszy od londyńskiego. Po niemęskim londyńskim biadaniu, po iście potępieńczych swarach o to, kto i w czym zawinił, po oburzającym widowisku Piłatów, umywających ręce — jakżeż orzeźwiająca jest lektura codziennych meldunków bohaterskiego obrońcy Warszawy generała Bora. Ile w nich godności, siły, zdeterminowania i woli. Takich ludzi można fizycznie zniszczyć, niepodobna jednak moralnie złamać.

Znam ich. Widziałem ich jeszcze wiosną tego roku. Wszakże Ci, którzy walczą w Warszawie — to moi dowódcy, koledzy lub podwładni. Wiem, co jest ich troską. Pod huraganowym ogniem artylerii, wśród dymów, wygryzających oczy, w tumanie kurzu walących się gruzów — myślą o jednym: o Sprawie. Bez względu na to, co ich spotka, nie stracą jej z oczu, póki życia. I przekażą następnym pokoleniom.

Uczmy się od nich prostoty, skromności i poświęcenia. Nie czas teraz na łzy i rozpamiętywania. Obowiązkiem naszym, jednako w obliczu zwycięstwa, czy klęski stolicy jest rozpalić ogień, trawiący Warszawę w płomień, widoczny ze wszystkich zakątków świata. Trzeba wstrząsnąć sumieniami, odwołać się do najwyższych wartości i nie ustawać w wysiłkach. Musimy mieć gorące serca — lecz zimny umysł i niezłomną wolę. Musimy wszyscy chcieć zwyciężyć.

Taki nakaz idzie ku nam od miasta najbardziej bohaterskiego, walczącego w dymie pożarów.

ANDRZEJ POMIAN

Dywizja Pancerna w Normandii

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Aby budzić sumienie świata...



rys. MARIAN WALENTYNOWICZ

Na statku milkły wszelkie rozmowy na tematy polityczne, którymi zajmowano się namiętnie w ciągu ostatnich tygodni, a zwłaszcza w ciągu dni bezpośrednio poprzedzających odjazd. Wypływaliśmy w przedziwnie rozbłękitnione wody Kanału Angielskiego. Ludzie zdawali się jedynie chłonąć atmosferę pogody i słoneczności. Dochodził przytłumiony odgłos odzywających się tu i owdzie wybuchów.

—Wizyta premiera będzie probierzem w sprawie ogólnej polityki Rosji — powiedział pchor. J. znany w pułku jako "Prokurator". Jednak to oświadczenie, chociaż wypowiedziane ze zwykłą pewnością siebie człowieka przyzwyczajonego do tego, iż zdanie jego wojsko przyjmuje i poważa, nie wywołało należytego oddźwięku.

Wyciągano się w słońcu na górnym pokładzie, schodzono na pierwszy pokład, gdzie omotane łańcuchami stały samobieżne działa, chluba płk. K., i gdzie na chętnych /a tych nie brakło/ czekała beczka ze spirytusem, rozbita przez czołg już podczas ładowania. Na wzór Williama Zdobywcy i jego towarzyszy, którzy w pamiętny poranek wrześniowy 1066 roku podczas przeprawy przez kanał raczyli się obficie winem, pito ów alkohol menażkami, aż jak za czasów najazdu Normanów, a co zanotował kronikarz z Poitiers, "widoki wyprawy rysować się poczęły w kolorach złotych" . . . Wonczas rozmarzeni kandydaci na inwazję XX wieku, znużeni pierwszymi trudami wojennej wyprawy, wyciągali się w kojach.

Innych, którzy trwali przy burtach /częstokroć z musu/ los obdarzył widowiskiem ciekawym. Oto statek jakoś przechylony na burtę zwolna pogrążał się w toń. Marynarze w bajecznie kolorowych pasach ratowniczych stali w gotowości na pomostach. Kapitanowie przez tuby wymieniali zdania, przystosowane do danych okoliczności. W końcu łodzie zjechały w dół, marynarze zeszli na nie po drabinkach i poczęli wiosłować w stronę statków ratowniczych. Akcja odbywała się sprawnie.

"Łajba" z wojskiem Armii Wyzwolenia wkrótce wzięła poprzedni kurs. Nieoficjalny kronikarz oddziałowy zanotował: . . . "pierwsza akcja morska pułku artylerii".

O zachodzie słońca ujrzano brzegi Normandii. Niebo jaśniało gamą czystych blasków. W przejrzystym powietrzu, mimo szarówki, widniały żółte plamy piasków i zielone smugi drzew. Nad wzgórzami wykwitały topole. Snuły się nad nimi tumany kurzu od przesuwających się nieustannie kolumn wojska i pojazdów.

Gdy wreszcie dotknięto stopą francuskiego brzegu, reakcja ludzi była nie jednolita.

—Lądowanie zorganizowane — zauważyli jedni.

—Ot kraj mało się różniący od tego, cośmy opuścili — mówili ci, co we Francji jeszcze nie byli.

Inni chłonęli widok z półświadomym, tęsknym uśmiechem na ustach.

Inni stwierdzali historyczność wydarzenia, mówiąc, iż znów po raz pierwszy od tylu a tylu lat wojsko polskie stanęło na kontynencie — oczywista zapominali o froncie włoskim.

O polityce, jak i na statku, mówiło się mało, i to stanowisko wydawało się jednolite.

Przystosowanie do nowych warunków dokonało się szybko. Niektórym zdawało się nawet, iż owa biedna, spustoszona Normandia sierpnia 1944 to ta sama *"douce France"* sprzed okupacji. W wyjściowych mundurach ruszono na wpół zniszczone wioski, by zagadywać czarnowłosą Marcelle czy Denise. Byli emigranci z Francji znaleźli się w swoim drugim domu.

Komunikatów radiowych słuchano przy każdej okazji. Z nich najwięcej mówiącymi są te, które tyczą frontu pod Caen czy Rennes. Sferą zainteresowań jest sfera rzeczywistości wojsku najbliższej i najbardziej namacalnej.

Stwierdzono w tej wojnie po wielekroć, iż żołnierz polski walczy na wszystkich frontach, by osiągnąć cel wzniosły — obudzić sumienie świata. Ów, nie pozbawiony melancholii, slogan zdaje się brzmieć nutami nadziei w chwilach, gdy doznaje próby życia.

Cechuje go to, że żąda wszystkiego, choć daje tak mało, chociaż winien przynieść tak wiele.

Żąda wszystkiego, bowiem w imię koniecznej jedności wysiłku nakazuje zamknięcie oczu na sprawy niepokojące i bolesne.

I każe wierzyć, iż sumienie świata obudzi się.

Rozbudzamy je ogniem dział.

—Zwycięstwo jest bowiem nieuniknione — powiedział "Prokurator".

WŁADYSŁAW STANKIEWICZ

Droga do Falaise

Nigdy tej drogi nie zapomnę.

Zobaczyłem ją po raz pierwszy w mglistych oparach ranka dnia 8-go sierpnia. Za mną pozostało miasto śmierci — Caen. Nie można go zresztą nazwać miastem. Caen jest dziś olbrzymim rumowiskiem, nad którym unosi się potworna woń rozkładających się pod gruzami trupów.

Przez Caen ciągnęły polskie pułki pancerne, kierując się na drogę do Falaise. Straszliwy kurz, zaduch trupi, gruzy i nieustanny huk naszych dział towarzyszyły temu przejazdowi. Wojna wyszła Polakom na spotkanie w najstraszniejszej swojej postaci.

Drogę do Falaise wskazywała tabliczka z niewinnie wyglądającym napisem: "Falaise. 32 km.". Trzydzieści dwa kilometry! Geniusz szatana nie zdołałby chyba skonstruować potworniejszej drogi.

Za każdym krzakiem i drzewem, ze każdym murem, w każdym wgłębieniu terenu i we wszystkich ruinach domów czekały z obu stron tej drogi zasadzki i pułapki. Świetnie maskowane bunkry niemieckie, stanowiska artylerii przeciwpancernej, pola minowe, śmiertelne, "żartobliwe" *booby-traps* /pułapki/. Nigdy nie wiadomo czego można dotknąć ręką wzdłuż drogi do Falaise. Chcesz wody, spragniony żołnierzu? Patrz, oto pompa. Nawet nie przypuszczasz, że pompa wyleci w powietrze, gdy zaczniesz pompować wodę. Nie dotykaj tej beczki z *cidrem* w zrujnowanym domu! Tam też czeka na ciebie pułapka. *"Booby-traps"*. To brzmi nieomal pieszczotliwie . . .

Jeśli będzie kiedyś jechał ktoś tą drogą w pokojowych czasach — powitają go tuż przy Caen, z prawej strony szosy — drewniane krzyżyki. Pochowaliśmy tam pierwszych sześciu polskich żołnierzy, którzy zginęli od pocisku dalekosiężnej artylerii, zanim jeszcze nasza dywizja weszła do akcji. Smutny to był pogrzeb i bardzo krótki. Nie było czasu na żadne salwy i uroczystości. Sześć ciał, zawiniętych w koce, złożono w ziemi, sześć płaszczów żołnierskich rzucono do grobów. Żywi poszli naprzód.

Na zoranym pociskami polu — stanęły nasze czołgi w szyku bojowym. Męczące były godziny oczekiwania na godzinę 13.45 — godzinę ataku. Słońce wędrowało coraz wyżej, prażąc niemiłosiernie.

Wiatr niósł tumany kurzu. Od południa wyraźnie było słychać odgłosy toczącej się walki. Około południa jazgot karabinów maszynowych umilkł.

Nawała ognia artyleryjskiego wzmogła się. Górą, nad nami, szły pociski ciężkich baateryj brytyjskich, krusząc pozycje niemieckie. Świst kul mieszał się z nieustannym hukiem salw. Artyleria niemiecka milczała. Był to moment, krzepiący na duchu.

Myliłby się ten, kto by sądził, że w owych chwilach przed atakiem żołnierze toczyli jakieś patetyczne rozmowy. Starano się rozmawiać o sprawach najzupełniej błahych. Tu i ówdzie wystrzelił dowcip, zajaśniał uśmiech na twarzy.

Nasz *jeep* z napisem *"Press"*, dającym prawo poruszania się po całym terenie frontu, został powitany przez załogi czołgów hałaśliwie.

—Ostrożnie! Nie rozbijcie nam czołgów! — wołano.

Zjawiła się gorąca kawa z termosów. Wzbranialiśmy się pić, ale staropolska gościnność przemogła.

—Pijcie — radzono nam. — Wy prędzej wylecicie w tym *jeepie* na minach. Zawsze lepiej po kawie.

Rzeczywiście, zapomnieliśmy o minach. Gdzieniegdzie co prawda pola minowe były oznaczone białymi taśmami, w tym miejscu jednak krążyli dopiero żołnierze z wykrywaczami min.

—To świetny wynalazek, ten wykrywacz min — oświadczył ktoś śmiejąc się. — Najpierw puszczają czołgi, a potem szukają!

Jakby na potwierdzenie tych słów, odkopano w międzyczasie kilka min, po których przeszły czołgi. Wykrywacz min działał, tylko miny nie działały. Honor polskiego wynalazku został uratowany. W każdym razie postanowiliśmy solennie, że będziemy posuwali się tylko przetartymi szlakami.

Tak nadeszła godzina 13-a. Z dokładnością co do sekundy nad polem walki zagrzmiały motory bombowców. Po raz drugi w ciągu jednej doby zaczęły spadać na linie niemieckie setki bomb.

Patrzyłem na to z rosnącą grozą w oczach. Na błękitnym, południowym stoku nieba wyrosła czarna kurtyna dymu. Fontanny ziemi zaczęły tryskać w górę, wybuchy pojedynczych bomb zlały się w jeden, straszliwy ton jakiejś nieprawdopodobnej eksplozji. Ton ten zdawał się jękiem ziemi, która drżała pod stopami. Przez 45 minut obserwowaliśmy tę walkę nieba z ziemią, stojąc w odległości 2 kilometrów od bombardowanych celów.

Jeszcze nie zamilkł warkot odlatujących bombowców, gdy zabrzęczały radiostacje czołgów. Jakieś dziwne nawoływanie poszło po długiej linii stalowych potworów.

—Hallo, Barbara! Hallo Stefan! Owce za lasem!

—Hallo, tu Stefan. Odebrałem. Koniec!

Motory, ponowny ogień artylerii, niedawne bombardowanie — ogłuszyły nas zupełnie. Czołgi ruszyły naprzód po małym stoku wzniesienia. Coraz szybciej, dalej — aż wszystko okrył i przesłonił tuman kurzu.

1. Dywizja Pancerna ruszyła do ataku.

W kilka minut potem z coraz dalszych kłębowisk kurzu zaczęły dolatywać odgłosy walki, znowu zagrały karabiny maszynowe.

Ogarnęła nas nowa fala opancerzonych motorów. To podciągała do przodu piechota na *carrier'ach*, *scout-car'y*, sanitarki i radiostacje polowe; pełzły olbrzymie wozy dowodzenia, najeżone wąsami anten. Ruszyliśmy razem z tą kolumną.

Wzdłuż szosy do Falaise rozciągało się pole niedawnych walk — fragment pierwszej linii obronnej Niemców, która została przełamana. Z rozbitych bunkrów i umocnień niemieckich wyglądały rozbite lufy dział. Od bunkrów tych dolatywała już woń szybko rozkładających się ciał. Kilka rozbitych i spalonych "Panther" grzęzło w ziemi. Leje po bombach, hełmy, kartki z notesów i listy, plątanina drutów, resztki sprzętu, łuski po nabojach — wszystko to sprawiało wrażenie, jakby przez to miejsce przeszedł potworny huragan. Na czole tego huraganu walczyli już Polacy.

Jadąc wciąż przed siebie, niespodzianie znaleźliśmy się u skraju małego lasku na tyłach walczących czołgów. Walka toczyła się za lasem, skąd dolatywały częste odgłosy strzałów. To nasze czołgi starały się przełamać opór 20 "Tygrysów" i "Panter", które zaczaiły się w ukryciu. Jakieś rykoszety niemieckich pocisków od czasu do czasu szeleściły w koronach drzew. W pewnym momencie zaszumiały nad głowami pociski dział niemieckich, wybuchły jednak stosunkowo daleko od nas. Rozejrzałem się za jakimś schronem w ziemi i — Bóg mi świadkiem — zrobiło mi się nieswojo. Spojrzałem na towarzyszy. Nadrabiali minami.

Pod jednym z drzew widoczny był dosyć głęboki rów, wykopany zapewne przez Niemców. Patrzyłem na ten rów z głębokim pragnieniem ukrycia się w nim, ale głos wewnętrzny zaczął mi coś szeptać o tchórzostwie. Znowu spadło parę pocisków, znacznie bliżej od nas. Zauważyłem, że moi przyjaciele również ukradkiem spoglądają na rów, żaden jednak nie sięgnął nawet po hełm. Stałem więc również bez hełmu, nasłuchując świstu pocisków. Zacząłem zazdrościć załogom czołgów: taki czołg, to jednak bezpieczne miejsce! Co za pancerz! Odsuwałem od siebie oczywiście myśl, że pancerz czołgu może być również przebity.

Nadjechało kilka naszych czołgów. Nagle z jednej wieżyczki doleciał nas głos:

—Hej, korespondenci wojenni! Dokąd się pakujecie z tym *jeepem*?!

Poznaliśmy dowódcę Brygady Czołgów. Zamienił z nami kilka słów, wydając nieustannie rozkazy i odbierając meldunki przez radio. Patrzyłem z podziwem na spokój i uśmiech tego człowieka, który kierował w tej chwili bitwą czołgów. On jeden znał wszystkie elementy tej bitwy, aczkolwiek nie widział jej w danym momencie.

Cofnęliśmy się do tyłu. Szosą prowadzono już pierwszych jeńców, którzy przedstawiali obraz nędzy i rozpaczy. Nieogoleni, brudni, wynędzniali, niektórzy słaniający się z głodu. Wśród jeńców grupka Polaków. Otaczał ich mur nienawistnych spojrzeń Niemców.

Dopiero o zmierzchu nadeszły meldunki, że czołgi polskie odrzuciły do tyłu "Tygrysy" i "Pantery", zadając im straty. Walka była niezwykle zażarta. Zwycięstwo to jeden z pułków okupił stratami w ludziach i sprzęcie.

Wieczorem piechota polska rozpoczęła oczyszczanie zdobytego terenu.

Tak minął pierwszy dzień polskich walk pod Caen.

— — — — — — — — —

Do chwili, gdy piszę te słowa — podobnych dni było więcej. Polacy mają już za sobą definitywnie przełamaną drugą linię umocnień niemieckich, zdobyte miejscowości, mają na swoim koncie około 20 zniszczonych na pewno "Tygrysów" i "Panter". Szli naprzód, walcząc nieomal o każdy metr, twardo, nieustępliwie. Wzdłuż drogi wyrosło więcej krzyżów.

Straszna jest to droga, straszne są zdobyte miejscowości. Kikuty bezlistnych drzew nie dają cienia, pola są usiane minami, bunkry niemieckie cuchną zgnilizną. Zrujnowane wsie, o które toczyły się walki, są całkowicie wyludnione. Walają się wśród nich domowe sprzęty, ubrania, wałęsają się wychudłe z głodu, na pół zdziczałe psy i koty. Wszędzie unosi się dławiący gardło kurz.

Tak wygląda polska droga do Falaise, a z drugiej strony, po takim samym terenie, idą naprzód dzielne wojska kanadyjskie.

Nasz odcinek frontu trzymamy mocno, nie ustąpiliśmy ani centymetra zdobytego terenu, mimo desperackich przeciwuderzeń niemieckich. Utrzymaliśmy ten odcinek wysiłkiem całej Dywizji od pułków pancernych począwszy, a skończywszy na wspaniale pracujących i doskonale zorganizowanych tyłach. Zaopatrzenie Dywizji funkcjonuje doskonale. Ani razu jeszcze żadna większa jednostka nie musiała korzystać z rezerwowych racyj. Amunicja, woda, żywność, benzyna — wszystko dostarczane jest na czas, niejednokrotnie pod ogniem artylerii i moździerzy.

Wkopaliśmy się w zdobyty teren. Każdy samochód zaopatrzenia wkopany jest w ziemię. Żołnierze śpią w ziemnych schronach, śpią wówczas, gdy cichnie ogień artylerii. Mało jest tej ciszy, mało snu. Ale wiele osobistej dumy i radości, że wreszcie, na koniec, bijemy najlepsze dywizje niemieckie, zgrupowane w rejonie Caen.

Żołnierze nasi są czarni nieomal, jak ziemia, na której walczą. Ale pewni siebie. Spokojni. W każdej chwili stać ich na uśmiech, chociaż — —

ciężka jest droga do Falaise.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Polska walcząca z podziemi

(Reportaże nadesłane z Kraju)

Kontrofensywa

Pociąg za pociągiem, dniem i nocą, żelazny wąż niezliczonych wagonów. Czołgi, działa, sprzęt i amunicja. Dywizje pancerne, strzeleckie, S.S. Wszystko — na wschód.

Kontrofensywa. Ostatni rozpaczliwy zryw armii niemieckiej w obliczu klęski. Front na przedpolu Karpat trzeszczy, łamie się i rwie . . .

Pociąg za pociągiem. Rzeka ludzi i stali. Ostatnie rezerwy. Ostatnia decydująca chwila. I — tylko dwa tory kolejowe linia Kraków-Lwów. Jak oka w głowie pilnują Niemcy tej jedynej drogi dowozowej. Przy każdym moście i przepuście — blockhausy; na mijankach — pancerki, wzdłuż toru — gęste patrole Bahnschutzów *i Kałmuków.*

Nadchodzi noc z 5 na 6 kwietnia 1944. W huku przelatujących pociągów, w pomroku słupów telegraficznych, w drżeniu szyn — jest najwyższe napięcie. Każda sekunda znaczy los tysięcy ludzi.

I nagle — noc czerwienieje na alarm. Oślepiające wytryski ognia rozjarzają się nad torami. Grzmiącymi krokami, w łunie eksplozji, aureoli rakiet i pocisków świetlnych — wkracza żołnierz polski z bronią wzniesioną do śmiertelnego ciosu.

* * *

Ze wzgórzy mroczny widok na tor między Przeworskiem a Grodziakiem Dolnym. Żelazny most na Wisłoku w dymie pociągów. Koło blockhauzu kręcą się zielone mundury. W zapadającym zmierzchu zapalają się światła pobliskiej wsi Chodaczów.

Rozpadliny i zarośla kryją 40 ludzi. Patrol minerów pracuje nad siecią ogniową. Miny już uzbrojone. Osłona — 20 karabinów i 7 sztuk broni maszynowej — czuwa na posterunkach. Mży deszcz z przelotnych chmur. Robi się co raz ciemniej. Księżyc z rzadka tylko przegląda ze sfalowanego nieba. Chłód. Mokro.

O 11-ej oddział nurkuje w mrok. Fałdzistym brzegiem rzeki dobija do mostu. Forsuje wysoki nasyp tuż naprzeciw blockhauzu. Tak blisko budynku, że słyszy kroki chodzącego za otwartym oknem żołnierza.

Minerzy wpełzają na most. Pakietują miny. Lufy osłony skierowane w drzwi i okna blokhauzu.

Znów dudnią szyny. Reflektory zieją blaskiem, rozproszonym w deszczu. Jakaś błędna towarówka tłucze się poza rozkładem jazdy. Spędza minerów pod belkowania mostu. Przechodzi. Można wracać.

W oknie blockhauzu pojawia się sylwetka strażnika. W ruchach — niepokój i wahanie. Najwidoczniej już dojrzał co się święci. Alarm wisi w powietrzu. Lada chwila . . . Tętno wybija sekundy co raz cięższe.

—Gotowe . . .

Zjazd po mokrej trawie. Osłona i minerzy wycofują się. Płomień pełza po lontach: 90 sekund.

Niemiec w oknie sterczy jak zahypnotyzowany. Ani głosu. Przytuleni do mokrej ziemi żołnierze słyszą tylko własne oddechy.

Sprawozdawca wojenny tkwiący obok dowódcy celuje otwartym obiektywem w kanciasty szkielet mostu. Magnezjowy blask. Ślepnie wszystko i głuchnie. Podmuch potężny roznoszący kawały żelaza, uderza z siłą orkanu. Tory na moście lecą w powietrze.*

* * *

Połowa min nie wybucha. Dowódca akcji trzęsie się ze złości. Porywa trzech minerów i goni z powrotem na most. Za nimi sprawozdawca z aparatem. Biegną potykając się o strzępy żelaza. O rozerwane, skręcone szyny . . .

Teraz dopiero blokhauz się budzi. Ledwie rozpoczęto ponowne minowanie, rój błysków zapala się w oknie strażnicy, kule zaczynają pryskać i dzwonić o żelazo. Jedna kąsa sprawozdawcę w ucho. Gwizd i furkot zjadliwy. Dowódca zaczyna odwrót. Sam z kontuzjonowanym i krwawiącym PSW dłubie jeszcze przy lontach, ale jest to już istne samobójstwo.

Czarna woda pod stopami kusi do skoku. Lecz desperacka piątka przerzuca się tylko za barierę i pajęczymi ruchami przeprawia się po belkowaniu do brzegu. Ostatnie przęsło. Aż zgrzyta od kul. Pod nogami o cztery metry piasek wybrzeża. Skok. Są wszyscy.

I wtem — drugi brzeg Wisłoka grać zaczyna ogniem maszynowym. To patrol "mongołów" kładzie zaporę pocisków smugowych na drodze odwrotu oddziału. Świetliste pasma zza rzeki krzyżują się z taśmami błysków z blokhauzu. Jaskrawa przędza śmierci. Na szczęście ogień zdradza wyraźnie pozycje wroga. Osłona bije w "mongołów" gęstymi seriami, ściąga ogień na siebie. Minerzy wskok naprzód i z nowych stanowisk — w "mongołów".

W tak nieustannym krzyżowym ogniu — oddział cofa się do punktu koncentracji. "Mongoły" ciągną równologle po drugim brzegu Wisłoka, uparcie flankując odwrót ciągłą palbą. Już dwu minerów jest rannych. Ale i inni mają już dosyć.

Odległe potężne grzmoty toczą się z głębi nocy. Echa dalekich eksplozji. Armia Krajowa działa szeroko wzdłuż linii kolei Kraków-Lwów.

* * *

Czternaście min na plecach czternastu żołnierzy zbliża się stokami wzgórz ku oświetlonej księżycem rzece. Łąki podmokłe lśnią w dole rozlewiskami światła. Znienacka, niespostrzeżenie zaciąga się nad seledynowym krajobrazem szara zasłona deszczu. Odtąd jest już tylko oczekiwanie. Po rozmarzeniu — zmora. Kiedy skończy się to bezbrzeżne mokradło? . . .

I właśnie, gdy wszyscy są na miejscu, opodal toru, gotowi do akcji — z deszczu wyłaniają się światła pociągu i . . . stają nieruchomo, tuż naprzeciw oddziału. Ogromny wąż 60 wagonów tarasuje tor od mijanki do przepustu na rzeczce Rogorzna. Leżąc w mokradle z minami na plecach, żołnierze liczą wagony. Raz . . . drugi . . . dziesiąty . . . trzydziesty.

Nie, miny nie zamokną. Między ładunkiem a niebezpieczeństwem zwilgocenia leżą ciała żołnierzy. Krew zwolna stygnie w żyłach. Kostnieją palce, dłonie i stopy. Mokry ziąb czołga się po skórze. Dreszcz za dreszczem, a każdy fibr dygocze.

60 minut bez ruchu. W deszczu. W grząskim błocie, wsysającym zmarznięte, obmokłe ciało. Miny nie zamokły.

Przemoknięci na wskroś minerzy nie skończyli pakietowania min na moście. Stoją przytuleni do brzegów przepustu. Dygot nieposkromiony wstrząsa ludźmi, kolana tłuką się o siebie, zęby trzeba zacinać, żeby nie dzwoniły.

Pół godziny wlecze się wiekami. Późno . . . Trzeba zaryzykować. Deszcz więzi obsługę pociągu w lokomotywie pod sygnałem, 60 metrów od przepustu, nieopodal mijanki. Minerzy wpełzają na tor. Rozmieszczają miny i zakładają sieć ogniową. Bez szmeru, jak cienie, snują świetlną pajęczynę bezpośrednio pod kołami pociągu. Inni ustawiają pułapki minowe w czterech miejscach z dala od mostu.

Dalekie potoczyste grzmoty niosą się długimi echami wśród wzgórz. Wyleciał w powietrze tor na moście na Wisłoku, 15 km. stąd. Armia Krajowa unieruchomiła linię Kraków-Lwów.

* * *

Znów w bagnie, o 100 metrów od toru, z bronią gotową do strzału. Ale to już ostatnie sekundy. Odpalacze przy zapalnikach pociągowych, ze sznurami w garści . . .

I znowu pociąg. Jeden stoi na przepuście, drugi zbliża się do niego pełnym pędem. Towarowy. Warto zaczekać jeszcze.

Już nie zimno, ale wzruszenie trzęsie wszystkich, jak epilepsja.

Dwa pociągi naraz. Co za gratka . . . Muszą wylecieć w powietrze . . .

Towarówka wpada na most. I w wir ognia, dymu, huku, w którym coś wali się z piekielnym zgrzytem, szczękiem, łomotem.

Na miejscu mostu i przepustu widnieje wyrwa. Cztery wagony oderwane od składu pociągu zapadły się w nią i sterczą dziwacznie w powietrzu, tworząc wyraźną literę V. Ładna "Victoria". Żelazny bigos.

Księżyc znów wyszedł. Oświetla jasno tor i plątaninę potrzaskanych, spiętrzonych wagonów. Ani jednego wystrzału. Cisza dzwoniąca w uszach.

Oddział odchodzi w szyku. Zdala żegna go salut nowych eksplozji. To miny-pułapki, założone o ½ km od miejsca głównej akcji, wysadzają w powietrze następne pociągi.

* * *

Sześć pociągów wyleciało tej nocy z szyn linii Kraków-Lwów, w ośmiu miejscach przerwanej. Dwa pociągi wykoleiły się w Płaszowie wskutek zamieszania powstałego na całym szlaku.

Na trzynaście godzin jedyna linia dowozu "frontu środkowego" zamarła. W chwili, gdy kontrofensywa niemiecka na gwałt wołała o posiłki, broń, zaopatrzenie.

Pociąg za pociągiem, żelazny wąż niezliczonych wagonów zastygł nieruchomo na sparaliżowanych torach.

KAL. GRZEG. JAS.

* To jedyne w swoim rodzaju zdjęcie, o którym tu mowa, reprodukowaliśmy w nr. 30. "Polski Walczącej" z b.r.

Korzystamy ze sposobności, aby przeprosić Czytelników za brak dostatecznej ilości klisz w tym numerze i dwu poprzednich. Okoliczności wojenne spowodowały utrudnienie techniczne, które spodziewamy się niedługo przezwyciężyć.

/Red./

Radiostacja z Wykusa

Złe przeczucia Lipca były aż nadto usprawiedliwione: gęsty las, porastający zbocza góry Wykus mógł doskonale ukryć radiostację "Orbisu" i przydzieloną eskortę, ale sześć grup partyzanckich na jeden las, to na pewno zawiele, gdy każda z nich tropiona jest i ścigana przez niemieckie obławy.

Najbardziej martwił się Lipiec o swój sprzęt. Ludzie wyjdą, przerąbią się. Radiostacji nie da się wynieść. Baraku . . . tym mniej. I co to był za barak. Całe tygodnie pracy obliczonej na długą, ciężką służbę zimową. Zbudowany solidnie z choiny, obłożony ściółką, świetnie zamaskowany, a ciepły, a wygodny. Nawet okien nie brakowało. Wspaniała melina. Można w niej było "grać" miesiącami.

I oto wszystkie nadzieje, wszystkie trudy — na nic. Mógł się łudzić, kto chciał. Dla Lipca pierwsze, dalekie strzały były tylko potwierdzeniem zupełnej pewności. Diabli wezmą "punkt", trzeba będzie zaczynać od nowa.

Nie namyślając się, zadołował prądnicę, zamaskował kryjówkę, aparaturę owiniętą we własny koc wyciągnął z baraku w krzaki, w najzwartszą gęstwinę. Nikomu nie dał się wyręczyć. Patrol osłonowy Stefana przegonił ze złością i żalem. Wszystko na nic. Cóż tu po osłonie . . .

Strzały huczały już ze wszech stron. Nawet od wartowni, z łysawego szczytu góry. Obława. Oczywiście.

Patrol osłonowy darł się gęstwiną do obozu głównego. Lipiec został sam. Dopiero teraz, po zabezpieczeniu aparatu, miał czas pomyśleć o sobie. Zgarnął w derkę trochę odzieży, załadował na rower . . . a wtem, tuż za barakiem zatrzeszczały krzaki i rozległy się słowa komendy. Niemcy . . .

Gęsty młodniak jodłowy zatarasował im drogę. Lipiec skoczył w las, niosąc raczej, niż wlokąc swój rower, ale wnet ugrzązł w nim, jak w sieci. Szarpiąc się, szamocąc z gęstwą, słyszał chrzest broni i podniecone głosy otaczającej barak obławy. Byli tuż. Ubiegł ledwie 60 metrów. Desperackim ruchem wepchnął rower pod wykrot, przywalił suchymi gałęziami i pobiegł za osłoną.

Ogień karabinowy i maszynowy rozgorzał tymczasem w całym lesie. Zginął jednak w ogłuszającym huku motorów samolotowych. Eskadra pościgowców runęła z nieba i uganiała ze świstem i warkotem tuż nad szczytami drzew. Istne trzęsienie ziemi.

Od obozu głównego dzielił grupę Stefana jeden jeszcze płytki wąwozik. Dopadli. Zdyszani, zgonieni, pięli się po zboczu. Lecz zaledwie wychylili się nad krawędź parowu — runęła od baraków salwa. Obóz był już w rękach Niemców.

Patrol pogonił z powrotem, w głąb wąwozu. O połączeniu z komendantem Ponurym nie mogło być mowy. O niczym zresztą. Wokoło grzmiały wybuchy granatów, strzelanina łomotała jak las długi i szeroki, wrzaski Niemców — tuż, tuż.

Lipiec znów był sam. Widział jak patrol Stefana rozprasza się i wpada w gęstwinę. Zostawała tylko ucieczka. Tak. Patrol mógł próbować ucieczki. Ale Lipiec miał jeszcze przy sobie cały materiał depeszowy i bezcenne kwarce, bez których nic po najlepszym aparacie.

I znów pół minuty stracił, aby pogrzebać to pod mchem. O życiu nie warto już było myśleć. A jednak — rozejrzał się, żeby zapamiętać ostatni schowek tego, co miał najdroższego.

Zobaczył tyralierę Niemców. Szli o kilkanaście kroków. Zaledwie zdołał dać susa do najbliższej grupy paru młodych jodeł — już wyłonili się z krzaków. Szli jak lawina. Masą. Lufy ich rozgarniały jodłowe spławy i źgały każdą kępę.

Lipiec wczepiony w gęste gałęzie o półtora metra nad ziemią, przytulony do pnia — żegnał się z życiem.

Nadchodzą. Prosto na tę mizerną grupę drzewek. Mijają — z prawej, mijają z lewej . . . Ślepi, czy co? Mijają . . . I przechodzą.

Nie zauważyli. Chyba zgiełk ich oszołomił, bo las cały trząsł się od strzałów, krzyków, grzechotu maszynek, ryku samolotów i potwornych detonacji bomb.

Potem wszystko ucichło. Prócz pojedyńczych strzałów. Małe grupy Niemców pojawiały się raz w raz, przetrząsając krzaki i Lipiec ani na chwilę nie mógł się zsunąć ze swego pnia. Niemal omdlewał z wyczerpania. Ręce i nogi zdrętwiały, cienki pień zdawał się wyślizgiwać z objęcia. Po stokroć przychodziła chęć rozwarcia chwytu — niech się dzieje co chce.

I trwało to . . . Nie do wiary . . . Godzina ucieczki, trzy godziny na drzewie. A kiedy już zdawało się, że ani sekundy dłużej trwać nie może, znów zatrzeszczały łamane krzaki, zatrzepotało listowie i z pośród drzew wyłonił się drugi pierścień obławy. Szli, jak pierwsi, tym samym szykiem, podnosząc wrzask ogromny. Śmierć znowu zajrzała Lipcowi w oczy.

Gdy przeszli — Lipiec uwierzył w cudy. Dziesiątki oczu patrzyły w te trzy chude jodełki, a przecież nie wypatrzyły zbiega, wiszącego o półtora metra nad ziemią.

A o sto kroków drugi taki sam cud ocalił plutonowego Kruka z plutonu osłonowego. I on siedział na drzewie.

Wczesny zmierzch wrześniowy zapadał, gdy klucząc po lesie, zbliżyli się do ruin spalonego baraku. Z całej kunsztownej, długiej pracy — kupa dymiących zgliszcz. Spłonęło wszystko. I budynek i żywność i koce . . .

Ocaleni stali długo nad popieliskiem, jak nad grobem najukochańszej osoby. Próżno grzebali w zarzewiu: prócz opalonych blaszanek z konserwami nic nie znaleźli. Nic się nie uratowało. Prócz — ludzi . . .

Z czarnej nocy wyłonił się najpierw jeden z żołnierzy osłony, potem dowódca, Stefan z dwoma ludźmi, później, już koło północy, por. Habdank z sześciu podkomendnymi.

Straszne, koszmarne chwile. Rozbitkowie pełzali przez gąszcz wywołując hasło, lecz nie wiedząc kogo mają przed sobą, życie już na najostatniejszą stawiając kartę.

Nie wiedzieli, że Ponury przerwał się zdecydowanym uderzeniem na szosę Wąchocką, nie wiedzieli, czy ktokolwiek się uratował. A jednak — kto ocalał z patrolu osłonowego, ciągnął na oślep do "punktu" radiostacji, o tym jednym tylko myśląc, żeby wrócić na swoje miejsce.

Straszna, koszmarna noc rozbitków.

O pierwszym brzasku Habdank i jego ludzie odeszli. Reszta zajęła się poszukiwaniem sprzętu radiostacji. Smutek i żal. Prądnicę Niemcy znaleźli i zrabowali. Wszystko poza tym ocalało, ale cóż robić . . . bez motoru? . . .

Pozbierano aparaturę, kwarce, depesze. Odwrót. Dokąd? . . .

Na miejsce wczorajszej utarczki. Zabrać broń poległych.

Na mchu — bezwładne ciało. Zabity żołnierz z osłony. Kula przeszyła mu głowę, w piersi kilka ran. To "Wicuś" . . . Koledzy chcieliby go pogrzebać, ale znów słychać głosy . . . Niemieckie.

Kruk, Stefan i Lipiec pośpiesznie ukryli radioaparat w krzakach, zamaskowali jak mogli. Las jest ciągle patrolowany przez Niemców. Znów trzeba się rozdzielić.

Stefan i jego ludzie schronili się na drzewach, ale Lipiec i Kruk mieli już tego dosyć. Kluczyli po borze na los szczęścia, byle nie stracić aparatury, byle jej upilnować, wynieść za wszelką cenę.

Trzy dni tak warowali. Nie jedząc, nie śpiąc, rozdygotani z zimna i wyczerpania, kryjąc się po krzakach i na gałęziach. Jeszcze kilka razy wpadali na Niemców, jeszcze dwa razy ostrzeliwano ich z bliskiej odległości. Piątego dnia przedarli się przez gęste placówki otaczające Wykus i grodzące szosę Wąchocką — Czekało ich 25 km marszu na meliny.

Kiedy wrócili znowu — aparatu już nie było. Szukali dwa dni na darmo. Prócz sześciu ciał zabitych kolegów nic nie znaleźli.

—Wtedy — powiada Lipiec — odechciało mi się żyć.

Dopiero wtedy.

* * *

Znacznie później miał się dowiedzieć, że to Stefan wyratował aparaturę, że zaopiekował się nią — przekonany o śmierci Lipca i Kruka.

Ale już ktoś inny uruchomił radiostację z Wykusa.

Pech ścigał Lipca do końca.

BOR.-JAS.

ś.p.
KONRAD BRAULIŃSKI
plutonowy Sam. Komp. Commando, Kawaler Krzyża "Virtuti Militari", trzykrotnie odznaczony "Krzyżem Walecznych" zginął w natarciu na m. Casa Nuova we Włoszech dnia 17 lipca 1944 r.
o czym zawiadamiają:
1 i 2-ga drużyna I-go plutonu Sam. Komp. Commando

ś.p.
KONRAD BRAULIŃSKI
plutonowy Sam. Komp. Commando, Kawaler Krzyża "Virtuti Militari", trzykrotnie odznaczony "Krzyżem Walecznych" zginął w natarciu na m. Casa Nuova we Włoszech dnia 17 lipca 1944 r.
o czym zawiadamiają:
Maciej Drzewica, Jerzycz, Jerzy Jachimowicz i inni współuczestnicy wypadu

Z książek o marynarce wojennej

Jak feniks — powstają z popiołów.

Takim oto tytułem można by opatrzyć nową książkę korespondenta morskiego poczytnych pism angielskich, A. D. Divine'a*, poświęconą historii odbudowanych na wygnaniu flot Polski, Francji, Holandii, Norwegii, Danii, Grecji, Jugosławii i Belgii.

Rozdział pierwszy tej książki poświęcony jest polskiej marynarce wojennej. Wysunięcie Polski na plan pierwszy nie jest zapewne wynikiem jedynie przyjętej przez autora metody chronologicznej, lecz hołdem złożonym polskiej marynarce wojennej, tej najmłodszej marynarce Europy, która pomimo najtrudniejszych warunków, najkrótszej linii wybrzeża i zamknięcia w ramach Bałtyku, wniosła jednak tak wielki wkład do alianckiego wysiłku zbrojnego na morzu.

Spójrzmy bowiem wstecz. Gdy nowopowstałe Państwo Polskie na swym skromnym, bo zaledwie 130-kilometrowym wybrzeżu, musiało budować porty, starać się o okręty, kształcić załogi i kłaść podwaliny organizacyjne, Francja była czwartą potęgą morską świata, a Holandia, Norwegia i Grecja miały do rozporządzenia długie i dogodne wybrzeża, doskonałe porty, otwartą drogę na świat i długoletnią tradycję ekspansji morskiej.

W przededniu wybuchu obecnej wojny polska marynarka wojenna dysponowała czterema kontrtorpedowcami o bojowych nazwach "Wicher", "Burza", "Błyskawica" i "Grom", oraz pięcioma okrętami podwodnymi, nie licząc mniejszych okrętów. Było to dość dużo jak na możliwości młodego Państwa, ale zarazem bardzo mało w porównaniu z siłą zachodniego sąsiada i z jego możliwością odcięcia polskiej marynarki wojennej od łączności ze światem.

* A. D. Divine, D.S.M., "Navies in Exile", John Murray, London, 1944, str. 194.

Lecz mimo tych wszystkich przeciwieństw i trudności, polska marynarka wojenna walczy do dzisiaj u boku marynarki brytyjskiej na wszystkich morzach świata i jest silniejsza, niż w chwili wybuchu wojny. Fakt ten — zdaniem autora — świadczy wymownie o niezwyciężonej energii i sile polskiego marynarza, o jego woli walki i wierze w ostateczne zwycięstwo.

Niemal każdy z okrętów należących do państw pokonanych przez armie niemieckie, może się wykazać historią niebezpiecznych ucieczek, podstępów i aktów desperackiej nieraz brawury. Ale nawet na tym tle, palmę pierwszeństwa dzierżą polskie okręty podwodne "Wilk" i "Orzeł".

A któreż z państw sprzymierzonych może się pochwalić takim zaufaniem do Wielkiej Brytanii, jak Polska? Dowodem tego prawdziwego zaufania polskiej marynarki wojennej do marynarki Wielkiej Brytanii jest — wedle autora — rozkaz władz polskiej marynarki wojennej, wydany jeszcze przed wybuchem działań wojennych, by na wypadek rozpoczęcia wojny polskie kontrtorpedowce wyszły z Bałtyku i zawinęły do portów brytyjskich.

Rozkaz ten, który wydano ze względu na konieczność wsparcia okrętów lekkich okrętami typów cięższych, oraz uzyskania odpowiednich baz, był niezwykle przewidujący. Odnosił się on do wszystkich okrętów Rzeczypospolitej, które miały po wyczerpaniu środków walki na Bałtyku starać się przedrzeć do portów brytyjskich. Rozkaz ten ma szczególną wymowę na tle zachowania się floty francuskiej w okresie zawieszenia broni oraz w okresie Mers-el-Kebir.

Historia polskiej marynarki wojennej na wygnaniu dłuższa jest niż historia innych flot na wygnaniu. Zima 1939 — 1940, która dla innych flot europejskich była okresem spokoju, dla polskich okrętów wojennych była okresem ciężkiej i niebezpiecznej pracy patrolowania wód Morza Północnego, walk z minami i z lotnictwem niemieckim.

Pierwsze podmuchy wiosny 1940 r., które przyniosły nasilenie walk morskich również i przed marynarką polską postawiły nowe zadania. Okręty polskie brały czynny udział w walkach o fiordy norweskie. Pomimo ognia artylerii nadbrzeżnej i ciągłych ataków lotnictwa niemieckiego, okręty polskie podchodziły pod same wybrzeża norweskie, by ostrzeliwać zgrupowane na lądzie wojska niemieckie. Kampania norweska przyniosła wiele chwały polskiej marynarce wojennej. Przyniosła ona jednak i bolesne straty. Na pokład "Burzy", zakotwiczonej w porcie Harstadt, przybył admirał Earl of Cork and Orrery. Nie przybył jednak na inspekcję. Przyszedł, by załodze "Burzy" donieść o stracie "Gromu" i opowiedzieć o ostatnich chwilach tego okrętu Rzeczypospolitej. Na rozkaz Admirała "Burza" miała przejąć od okrętu brytyjskiego rozbitków z "Gromu".

Rok 1940 przynosił katastrofę za katastrofą. Polskie okręty wojenne brały udział w nieszczęśliwej kampanii francuskiej. "Burza" została poważnie uszkodzona w czasie bombardowania Calais. "Błyskawica" brała udział w ewakuacji Dunkierki. Polskie okręty podwodne. "Orzeł" i "Wilk", zatopiły poważną ilość nieprzyjacielskiego tonażu.

Gdy mimo wielkich trudności marynarka polska uzupełniła i wyszkoliła załogi, Admiralicja Brytyjska pomyślała o wyrównaniu jej strat w okrętach. Polska bandera wojenna załopotała na czterech nowych kontrtorpedowcach: "Piorun", "Ślązak", "Krakowiak" i "Kujawiak". Miejsce "Orła", który zatonął, zajął "Sokół", a wkrótce przybyły jeszcze "Jastrząb" i "Dzik".

W miarę rozwoju wypadków wojennych rozszerzała się i działalność polskich okrętów. W każdej większej operacji, w każdej bitwie morskiej brały udział okręty Rzeczypospolitej.

W maju 1941 r. zelektryzowała cały świat wiadomość o zatopieniu pancernika "Bismarck". Rolę "Pioruna" w tej bitwie najlepiej charakteryzuje przytoczona przez autora depesza dowódcy brytyjskiego: "Winszuję, że Wasz okręt pierwszy dostrzegł "Bismarcka". Chciałbym, byście byli ze mną, gdy będzie nowa bitwa morska".

"Ślązak", "Krakowiak" i "Kujawiak" doskonale zapisały się w dziejach wojny. Trudno wyliczyć wszystkie wyczyny tych okrętów. Najlepszym dowodem szacunku, jakim flota brytyjska otacza okręty polskie, jest przytoczony przez autora następujący epizod:

"Krakowiak", który eskortował konwój, toczył ciężką walkę z lotnictwem niemieckim. Autor książki, który znajdował się na pokładzie okrętu brytyjskiego, przepływającego w niewielkiej odległości, zwrócił się do jednego z marynarzy brytyjskich z uwagą: "Jaka szkoda, że nie możemy przyjść z pomocą atakowanemu okrętowi". Marynarz na to odpowiedział: "O, ten to sobie da radę, to przecież okręt polski!"

Polskie okręty brały udział w ataku na Lofoty, w konwojach do Murmańska, w walkach na Morzu Śródziemnym i w wypadzie na Dieppe.

W nagrodę za ciężką pracę miała polska marynarka wojenna swoje momenty zadośćuczynienia. "Błyskawicy" przypadła w udziale ochrona transportowców pełnych wojska brytyjskiego i amerykańskiego w drodze do Afryki Północnej. W liście do dowódcy polskiego Admirał Cunningham stwierdził, iż marynarka królewska dumna jest, że dane jej jest walczyć razem z marynarką polską.

"Piorun", "Ślązak" i "Krakowiak" wchodziły w skład armady, współdziałającej w ataku na Włochy. Sprawozdanie z działalności bojowej okrętów zostało nadesłane do Kierownictwa Marynarki Wojennej w Londynie w urzędowej kopercie włoskiej, na której widniał nadruk: *"Reggio Istituto Fascisto per Commercio Estero"* /Faszystowski Instytut Królewski Handlu Zagranicznego/.

Mimo ciężkich strat, mimo wykruszania się personelu, marynarka polska stale się rozrasta. Rok temu bandera polska została podniesiona na pierwszym polskim krążowniku "Dragon".

Na kampanii włoskiej zamyka autor swoją historię polskich okrętów wojennych. Następne wydania książki zostaną zapewne uzupełnione wyczynami polskich okrętów w czasie ataku na fortecę europejską.

Książka Divine'a zawiera wiele bardzo cennego materiału informacyjnego, zebranego z pierwszej ręki, gdyż autor odbył niejeden patrol na polskim okręcie i zna załogi nie tylko z rozmów, lecz również z ciężkiej pracy na morzu. Jedynym większym błędem, popełnionym przez autora, jest wiadomość o stracie "Pioruna", "Piorun" zaś nie tylko żyje, lecz walczy i zadaje ciężkie straty nieprzyjacielowi. Wystarczy nadmienić, że to właśnie "Piorun" brał udział w ataku na pancernik "Tirpitz", oraz w inwazji Europy. Na błąd ten marynarka polska zwróciła autorowi uwagę i uzyskała zapewnienie, że błąd ten będzie usunięty w następnych wydaniach książki.

Na tle oceny udziału marynarek europejskich w wojnie na morzu, wkład Polski szczególnie się uwypukla i dlatego książka Divine'a jest dla nas, Polaków, specjalnie cenna. O ile chodzi natomiast o czytelników brytyjskich, którzy taką miłością i szacunkiem otaczają "Navy", książka ta stanowi jeszcze jeden argument, przemawiający za koniecznością posiadania przez Polskę szerokiego dostępu do morza, którego wolności strzec będzie polska marynarka wojenna.

MARIA PRZYGODSKA

Skrzynka pocztowa

GŁOS ANGIELKI W SPRAWIE ZBIÓRKI NA SZPITAL DLA DZIECI IM. GEN. SIKORSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Byłam bardzo wzruszona listem "W.Z." w numerze 22-go lipca "Polski Walczącej" na temat Szpitala im. Generała Sikorskiego. Jestem temu Panu bardzo wdzięczna za myśl robienie zbiórki przez pośrednictwo Pańskiego pisma na Szpital i byłabym niezmiernie rada, gdyby to się odbyło, tak, jak "W.Z." proponuje.

Wojna się skończy, mamy nadzieję, szybko, a potrzeby w Polsce są ogromne. Dzieci są głodne, chore, trzeba jak najprędzej im przyjść z pomocą. Wiemy, że UNRRA zrobi bardzo dużo, ale nie może być za dużo miejsca w szpitalach, nie może być za dużo opieki nad dzieckiem. Chcielibyśmy, aby Szpital im. Generała Sikorskiego był gotowy i wyposażony, aby się przeniósł do Kraju, jak tylko to będzie możliwe. Proszę, wobec tego, aby czytelnicy poparli propozycje Pana "W.Z." i w ten sposób nam pomagali wykonać nasze zadanie.

Proszę łaskawie wybaczyć błędy po polsku,

F. C. Anstruther
za *"Polish Children Rescue Fund"*

APEL
do Żołnierzy b. 14-tej Wlkp. Dywizji Piechoty i ich Przyjaciół

W celu zadokumentowania naszego przywiązania do Jednostek Macierzystych, zapraszam Kolegów z okazji zbliżającej się piątej rocznicy walk Oręża Polskiego i w dowód pamięci o gen. Franciszku Władzie i żołnierzach poległych w kampanii wrześniowej 1939 r., o walkach Armii Krajowej i Sił Zbrojnych na obczyźnie — do składania za pośrednictwem "Polski Walczącej" dowolnych datków na "Fundusz Pomocy pozostałym w Kraju wdowom i sierotom po poległych żołnierzach 14-tej Wielkopolskiej Dywizji Piechoty". Osobiście na ten cel składam 24 sh.

Na nas, żołnierzach Rzeczypospolitej Polskiej, którym los pod wielu względami poszczęścił, ciąży obowiązek wykazania zbiorowego wysiłku, wytężonej pracy i pełnej ofiarności dla chwały i wielkości Ojczyzny. Danina krwi, jako najwyższy współczynnik walki, musi iść w parze ze zrozumieniem i wczuciem się w położenie naszych najbliższych, głodnych i cierpiących. Chyba wszyscy dostatecznie rozumiemy te potrzeby! Jako pamięć o naszych kolegach i najbliższych nie wystarczają nabożeństwa żałobne w rocznice różnych świąt pułkowych i dorywczo w tym czasie zorganizowana akcja pomocy w formie "paczek od serca" dla kolegów w obozach jenieckich, lub Polaków, wysiedlonych do Rosji Sowieckiej. Wysiłek nasz musi być ciągły i proporcjonalnie rozkładany. Wprawdzie na podstawie rozporządzenia Pana Ministra Obrony Narodowej istnieje ze składek żołnierskich "Fundusz Społeczny Wojska Polskiego", którego cele i wykonanie są nam znane. Potrzeby niesienia pomocy są jednak znacznie większe i nikt z nas nie może uchylić się od tego obowiązku.

Jeżeli obecna, ciężka sytuacja Kraju uniemożliwić może realizowanie tej pomocy, zebrane fundusze w takiej czy innej postaci przekazane być muszą później. Mamy przecież dostatecznie rozbudowaną administrację wojskową i cywilną, której należy zaufać i wykonanie zadania zlecić.

Podejmując na łamach "Polski Walczącej" inicjatywę zbiórki "Funduszu pomocy pozostałym w Kraju wdowom i sierotom po poległych żołnierzach 14-tej Wlkp. Dyw. Piech.", apeluję do Kolegów z innych formacyj i W.J. do wysunięcia własnych wniosków.

Musimy nie zapominać, że skoro doczekamy się tej radosnej chwili, kiedy po walce staniemy na własnej ziemi i zetkniemy się z naszymi najbliższymi, kolegami z obozów jeńców i innych miejsc zesłań i przymusowej wędrówki, ciąży na nas obowiązek złożenia sprawozdania z osiągniętego dorobku i wysiłku jaki włożyliśmy dla wspólnej sprawy.

A.J.S.
Żołnierz b. 14-tej Wlkp. Dyw. Piech.

LIST Z ARGENTYNY

Buenos Aires 17 lipca 1944 r.

Do Szanownej Redakcji "Polski Walczącej",

Niniejszym poczuwam się do miłego obowiązku przesłania kilku wyrazów uznania dla Szanownej Redakcji oraz wszystkich współpracowników "Polski Walczącej", którzy od pierwszego numeru do dnia dzisiejszego potrafili utrzymać kierunek pisma tak jak tego Sprawa Polska wymaga.

Nie piszę tego, żeby Panów zachęcać do "wytrwania na posterunku", ponieważ zdaję sobie doskonale sprawę, że jeżeli się Panowie nie załamali we wrześniu 1939 roku i od maja do października 1940, to dziś wszelkie zachęty są już zbyteczne. Pragnę tylko stwierdzić jako emigrant polski, przebywający w Argentynie 15 lat z górą, że kierunek "Polski Walczącej" trafiał do przekonania każdemu Polakowi bez względu, czy nosił zaszczytny mundur żołnierza polskiego, czy strój cywilny.

Przez dłuższy okres 1941 i 1942 roku jako członek Komitetu Redakcyjnego organu zorganizowanej Kolonii Polskiej w Argentynie "Głosu Polskiego", miałem możność nie tylko czytać, lecz przedrukowywać cenne artykuły "Polski Walczącej", oraz zawdzięczając staremu społecznikowi w Rosario, p. Fr. Dębickiemu, do dnia dzisiejszego otrzymuję po kilka numerów poczytnego pisma, które podawane z rąk do rąk spełniają swą misję i trafne a zarazem bardzo pochlebne uwagi skłoniły mnie do napisania tego listu.

Już sama nazwa mówi o treści i kierunku pisma; "Polska Walcząca"! Nie ma w obecnej chwili lepszego określenia dla naszej Ojczyzny, jak Polska Walcząca; walczy lotnik, marynarz, żołnierz lądowy, walczy inteligent, chłop, i robotnik, walczy Kraj cały i Polacy zagranicą.

Miałem możność czytać pisma /poza komunistycznym, wydawanym przez p. Kornejczukową/, które przyjęły za nazwę "Nowa Polska". Przyznam szczerze, że nawet jeżeli artykuł w takim piśmie był rzeczowy, to cały sens przekreślał tytuł czasopisma "Nowa Polska". Dziś już każde dziecko polskie wie, nie mówiąc o dorosłych, zaliczających się nieraz do wybitnych literatów, że nie sięgając czasów Krakusa i Wandy, Polska liczy z górą 1000 lat i co rok jest starszą, z czego możemy być tylko dumni, bo przecież to nie "stara panna", żeby jej lat ujmować i nazywać nową, bo w ten sposób przekreślamy nasz dorobek kulturalny nie tylko narodowy, lecz ogólnoświatowy. Zresztą nie o tym miałem zamiar pisać, podkreśliłem tylko te kilka zdań, żeby jeszcze raz potwierdzić trafność nazwy "Polska Walcząca".

Dziś u schyłku piątego roku najstraszniejszej z wojen i w przededniu zwycięstwa Narodów Sprzymierzonych, a tym samym Polski, niech te słowa będą zapewnieniem dla wszystkich współpracowników "Polski Walczącej" z Redakcją na czele, że wysiłek Ich nie poszedł na marne, lecz zostali należycie zrozumieni i w wielu, bardzo wielu wypadkach podnieśli słabych na duchu i utrzymali w karnym szeregu Polski Walczącej.

Jeżeli kiedyś historycy zechcą badać nastroje i ducha Polaków w czasie obecnego kataklizmu, to numery "Polski Walczącej" będą cenną encyklopedią do tej pracy.

Życząc Panom jak najszybszej zmiany m.p. na stałe do okrytej nieśmiertelną sławą Warszawy, łączę szczere wyrazy prawdziwego poważania i szacunku.

Przesyłam również te same życzenia dla wszystkich Czytelników "Polski Walczącej", wśród których jest sporo Ochotników W.P. z Argentyny.

Władysław Pleśniak
c. Tucuman 462 Buenos Aires
Rep. Argentina.

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. nr. 26, 27, 28, 29 i 30 "Polski Walczącej" wysłano: 40 paczek żywnościowych /à 10s/ i 465 paczek papierosowych à 500 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano, jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

Poradnik żołnierski

Pchor. A. Was. — Sprawa wzmożenia zbiórki na Polaków w Rosji. — Ponieważ wysłany przez nas list na adres podany przez Pana wrócił z dopiskiem, że jest Pan tam nieznany, przeto odpowiadamy na tej drodze:

Chętnie umieścimy list w sprawie wzmożenia zbiórki dla Polaków w Rosji, która jest tematem naszej stałej troski, ale uważamy za całkiem niesłuszne i niewłaściwe przeciwstawianie tej zbiórki — zbiórce na jeńców. Naszym zdaniem te inicjatywy się nie wykluczają, ale uzupełniają.

Kpr. St. Zal . . . — Sprawa min magnetycznych. — Chciałby się Pan dowiedzieć, kiedy po raz pierwszy zostały przez Niemców zastosowane w tej wojnie miny magnetyczne: czy zaraz na początku wojny, czy znacznie później.

Otóż, jak nas poinformowano w referacie prasowym Admiralicji Brytyjskiej, Niemcy zastosowali miny magnetyczne zaraz na początku wojny, mianowicie /na szerszą skalę/ w październiku 1939 roku. W krótki czas po ich zastosowaniu Anglicy wynaleźli sposoby neutralizowania ich, tak, że już w roku 1940-ym przestały być groźne dla żeglugi /rozumie się dla statków, które były wyposażone w specjalne urządzenia, zabezpieczające przed minami magnetycznymi/.

P. Wład. W. — Sprawa obywatelstwa Angielek po wyjściu za mąż za Polaków. — Pierwsze wyjaśnienie w tej sprawie zamieściliśmy w nr. 20-tym "Polski Walczącej" z dnia 20 maja r.b. Powtarzamy: obywatelka brytyjska, gdy wyjdzie za mąż za Polaka, jeśli zechce — może pozostać nadal przy obywatelstwie brytyjskim na podstawie nowej ustawy brytyjskiej, wydanej około półtora roku temu. Po szczegółowe informacje zainteresowana winna zwrócić się do swego provosta, względnie do miejscowej policji. Poinformowano nas, że sprawy te są proste i łatwe do przeprowadzenia.

"Trzech lotników" i plut. R.M. — Wszystkie adresy Polek z Ameryki, które pragną nawiązać korespondencję z polskimi żołnierzami, rozesłaliśmy do poszczególnych oddziałów i w tej chwili nowych adresów nie posiadamy. Nadesłane listy przesłaliśmy do Światowego Związku Polaków z Zagranicy /45, Belgrave Square, London, S.W.1/ z prośbą o załatwienie. Niewątpliwie otrzymacie Panowie wkrótce pomyślną odpowiedź.

Dla Polaków w Rosji: £11,087

Szanowny Panie Redaktorze,

Dziękuję za łaskawe nadesłanie 4 egzemplarzy P.W. ze wzmiankami o moich wpłatach z Great Malvern i Rugby i w załączeniu przesyłam M.O. na sumę £22.9.0 /słownie: dwadzieścia dwa funty i dziewięć szylingów/ zebraną na P.C.K., fundusz na Polaków w Rosji, na wystawie fotograficznej "Through Polish Eyes" w Stafford.

Wystawa w Stafford była 28-ą z rzędu, a zebrane składki dobiegają sumy £600.

Bardzo proszę pana Redaktora o łaskawe przysłanie 2 egzemplarzy P.W. z powyższą notatką do Wolverhampton, dokąd wystawa wkrótce pojedzie.

Z poważaniem

Paweł Miller

* * *

Szanowny Panie!

W załączeniu przesyłam "money order" na £10 i sh.3. Sumę tę zebrały ochotniczki Polskiego WAAF. na RAF. Station Wi. dla Polaków w Rosji.

1-szy i 2-gi Flight V-go Kursu Podstawowego Polskiego WAAF

* * *

To the Editor "Fighting Poland",

Please find enclosed a Postal Order for the amount of sh.20 for the Polish Red Cross which I am sending on behalf of Mrs. Daphne Lumsden /1/cpl. F.A.N.Y./.

Yoursfaithfully,

M.S. S/Ltn.

Szanowny Panie,

Przesyłam sh.6 uzbieranych z inicjatywy Joasi i Remisia z Hay Lodge'u w Peebles na dzieci polskie w Rosji.

Obiecałam dzieciom, że prześlę te pieniądze do "Polski Walczącej" więc bardzo proszę o potwierdzenie odbioru.

Z poważaniem

Zofia Bobińska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £32.18.0 /słownie: trzydzieści dwa funty, osiemnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,087.16.5 /słownie: jedenaście tysięcy osiemdziesiąt siedem funtów, szesnaście szylingów, 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

NA WDOWY I SIEROTY PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14. WIELKOPOLSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

A.J.S. składa sh.24 jako zapoczątkowanie zbiórki /por. apel zamieszczony w "Skrzynce pocztowej" w bieżącym nr./

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Z okazji pożegnania odchodzącego na inne stanowisko mjr. pil. M.B., żołnierze Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego /A.C.T.C./ złożyli sumę £8.12.8 /słownie: osiem funtów, dwanaście szylingów, osiem pensów/ na Fundusz Pomocy Dzieciom Polskim.

Z-ca D-cy Dyonu
/—/ I.K. Kpt. pil.

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam P.O. na sumę £1 pozostałą ze zbiórki na kwiaty w dniu pogrzebu ś.p. st. sierż. pilota W/O Mierniczka S. i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy do Funduszu Ratowania Dzieci Polskich.

Chorąży Stacji "N"
T.K.

Zbiórka książek

P.T. Poliszewski przesłał: "Basic English for Students", H. de Willman-Grabowska: "Méthode de Français", J. J. Connington: "The Dangerfield Talisman", Sir Walter Citrine: "My American Diary", R. Umiastowski: "12 mil do Warszawy . . . 30 mil do Paryża", St. Majewski: "Jedenasty pancerny", "Manual de Conversation Français-Polonais", "Lotnictwo bombowe", "War Atlas".

* * *

Szanowna Redakcjo,

Przesyłam w załączeniu kilka książek dla Polaków na Środkowym Wschodzie.

Z poważaniem

Mieczysław Tarnowski

Załączone: B. Iwaszkiewicz, J. Mazur, J. Słowikowski: "Arytmetyka", A. M. Rusiecki, A. Zakrzewski: "Arytmetyka", "Argosy", E. Ligocki: "Złota chorągiew", "Singapore Nightmare", "Nazywam się milion", "Wielka Brytania, kraj, ustrój i kultura".

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4,397 książek.

POLITECHNIKA

Rada Akademickich Szkół Technicznych zawiadamia, że przyjmuje zapisy na akademickie studia techniczne wszystkich lat i wydziałów.

—Kandydaci winni składać podania o przyjęcie na studia do dn. 1-go września b.r. na adres:

Rada Akademickich Szkół Technicznych, City & Guilds College, Room 230, Exhibition Road, London, S.W.7.

W podaniu o przyjęcie na studia techniczne należy podać życiorys, wykształcenie, ewent. odpisy dokumentów stwierdzających odbyte studia oraz wydział na jaki kandydat chce być wpisany.

Osoby wojskowe winny wnieść drogą służbową podanie o odkomenderowanie na studia techniczne pod opieką Rady A.S.T. Dla osób cywilnych obowiązuje zezwolenie na studia z Ministry of Labour.

Przyjęci na studia otrzymują stypendium.

Kandydaci, którzy złożyli podanie do Rady A.S.T. po 1 marca 1944 r. nie potrzebują podań ponownych do Rady nadsyłać.

Przewodniczący
Rady Akademickich Szkół Technicznych
—Prof. S. Płużański

Na "paczki od serca": £3,671

W załączeniu przesyłam Money Order polskiego Oficera Oświatowego 309-go Dywizjonu na kwotę £7 sh.17 d.1 i proszę sumę tę przekazać na rzecz polskich jeńców w Niemczech.

Kwotę tę złożyli szeregowi, podoficerowie i oficerowie 309 Dywizjonu i 6309 Esk. Tech. w czasie wyświetlania filmów: "Trzy serca" i "Włóczęgi".

Dowódca Eskadry Technicznej
J. Stanisław por. techn.

* * *

Uprzejmie proszę o przekazanie przesłanych sh.10 na "Paczki od serca".

por. B.K. i ppor. S.T.

* * *

Do Redaktora "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £1 z przeznaczeniem na "paczki od serca" dla polskich jeńców wojennych w Niemczech.

Suma ta została złożona przez Polski Kurs Nawigacyjny w J.

Z poważaniem

A.J.

* * *

Wiktor Budzyński złożył £1 zamiast kwiatów na trumny ś.p. księdza Konstantego Pogłódka, zmarłego w Szkocji i ś.p. ppłk. Emila Gruszeckiego, poległego na polu chwały pod Anconą.

NA PACZKI DLA JEŃCÓW PRZEZ P.C.K.

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam Money Order na £13 sh.1 d.2 jako dochód z zabawy tanecznej w połączeniu loterią fantową, urządzonej w Swietlicy lotniczej w Szkole Pilotażu Podstawowego, w dniu 15 lipca b.r. Proszę uprzejmie o przekazanie tej sumy do Polskiego Czerwonego Krzyża na pomoc polskim jeńcom wojennym.

Z poważaniem

Świetliczarka J.N.

Sh. 7/6 od p. T.K. jako nieprzyjętą przez E. Sz. wygraną.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Przesyłam "bezimiennie" £3 na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ z przeznaczeniem na "paczki od serca" w zamian za nieprzyjętą ofiarę przez ks. dziekana Trombalę, kapelana szpitala wojennego nr. 1.

Z poważaniem

Jeden z pacjentów

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £14.14.7 /słownie: czternaście funtów, czternaście szylingów, 7d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,671.11.0 /słownie: trzy tysiące sześćset siedemdziesiąt jeden funtów i jedenaście szylingów/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

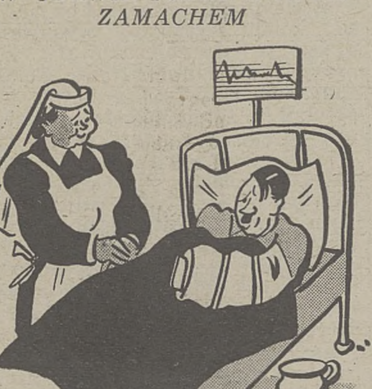
KOMUNIKAT

Wyszedł z druku sierpniowy zeszyt "Bellony", miesięcznika wojskowego, wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły: płk. dypl. M.K.: Zasady i czynniki taktyczne w wojnie obecnej; Dr. T. S. Offert: Psychologia rozkazu; Ppłk. L.G.: Zagadnienie zwalczania pól minowych i pułapek; Ppłk. dypl. H.: Psychologia przewództwa wojskowego. Miesięczny przegląd wydarzeń wojennych; Recenzje.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W OBAWIE PRZED NOWYM ZAMACHEM



—Niech siostra usunie wszystko spod łóżka — już ja nie chcę zginąć od takiej bomby . . .

ROZMOWA PESYMISTY Z OPTYMISTĄ

Optymista: — Żeby tak ten "szybotłuk" spadł na "Rembrandta" . . .

Pesymista: — Ale kiedy? Jak już spadnie, to pewnie w nocy, jak nikogo nie ma — i trafi w oficera inspekcyjnego i to z rezerwy . . .

PO KONCERCIE PROKOPIENIEGO W EDYNBURGU

—Byłem wczoraj na koncercie Prokopieniego . . .

—No, no, i co on mówił? . . .

"ZAŻALENIE" . . .

" . . . Obwiniony lewą ręką spełniał potrzeby fizjologiczne, prawą natomiast niedbale oddawał honory . . ."

PO CZTERECH LATACH ZNÓW WE FRANCJI



"Skoczyły dziatki i krzyczą jak mogą: Tata, ach tata nasz jedzie" . . .

UCIECZKA Z WARSZAWY



. . . "Wenn die Soldaten durch die Stadt marschieren . . "

OSTATNIA KARA

Trzech Polaków zastanawia się, jak należałoby ukarać Hitlera:

Pierwszy: — Ja bym jemu codziennie wbijał po pluskiewce do ciała!

Drugi: — To jeszcze mało, najlepiej uśmiercić Hitlera zmusiwszy go do słuchania jego własnych przemówień!

Trzeci: — To jest nieludzkie, musimy być narodem humanitarnym. Ja karmiłbym go tylko "fish and chips'em" i "jamem" . . .

W PEWNYM URZĘDZIE

—Wie pan, ten Kanciarski to ma świetną głowę. Wie pan, ile zarobił na pewnym wynalazku? Trzysta funtów!!!

—A jaki to wynalazek?

—Szpilki do przebijania balonów zaporowych . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Żołnierz niemiecki skarżył się w Norwegii, że Norwegowie spoglądają na Niemców z pogardą "jak gdybyśmy byli murzynami". — "My nie patrzymy z pogardą na murzynów" — brzmiała odpowiedź.

/d/

ZAGADKI: 1/ w szufladzie jest 10 par białych rękawiczek i 10 par czarnych. Ile rękawiczek musi wyjąć ich właściciel, jeśli w pokoju jest ciemno a on pragnie dobrać sobie parę jednego koloru, obojętnie czarnego czy białego?

2/ Jaka była największa wyspa na świecie przed odkryciem Australii? /Odpowiedź na końcu tego kącika/

/d/

Z brytyjskiej Izby Gmin

Podczas debaty Pierwszy Lord Admiralicji Alexander powiedział, że wielu marynarzy nie umie pływać. Commander Locker-Lampson oświadczył, że w niemieckiej marynarce wszyscy obowiązkowo muszą umieć pływać. Jeden z posłów odezwał się na to: "Miejmy nadzieję, że będą mieli okazję do wykorzystania swych umiejętności".

/d/

Z artykułu w piśmie *"Horse and Hound"*: " . . . bo bez lisów nie byłoby polowań na lisa, a bez polowania na lisa, wielu ludzi nie umiałoby wytrzymać długiej angielskiej zimy w czasach pokojowych".

/d/

ODPOWIEDŹ: 1/: 3. 2/ Australia, tylko nieodkryta.

Z DZIEDZINY WYNALAZKÓW NIEMIECKICH



Ostatni pomysł jaki strzeli Hitlerowi do głowy . . .

AUTENTYCZNE . . .

—Panie kapitanie, chciałbym prosić o papier do maszyny.

—Nic wam nie poradzę. Budżet już jest przekroczony. Niech więc pan dowódca z końcem roku prześle pismo, to w przyszłym roku w nowym budżecie, wstawimy to zapotrzebowanie.

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

ZARZĄD KOŁA 14 PUŁKU UŁANÓW JAZŁOWIECKICH

podaje do wiadomości kolegów że w dniu święta Pułkowego na walnym zebraniu JAZŁOWIAKÓW założone zostało Koło 14 Pułku Ul. Jazłowieckich.

Cel: pomoc wszystkim żołnierzom Pułku, członkom Koła i utrzymanie tradycji Pułkowej. Składka roczna: Oficerowie sh.2, szeregowi sh.1. Zgłoszenia: akces do koła należy zgłaszać pisemnie do sekretarza: Adiutant — Polish Forces P/35.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.